NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 50.723,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 28 lutego 1914.** **Nr. 9.**

Uwolnienie hr. Mielżyńskiego.



Treść numeru: Pogrzeb jenerał-gubernatora warszawskiego. — Z królestwa Albanii. — Bomby w Galicyi. — Przesilenie w Anglii. — Z lotu ptaka. — Chleb dla głodnych. — Sztuka futurystyczna. — Echa karnawałowe. — Skoki na nartach. — Z teatru i t. d. i t. d.

Uwolnienie hr. Mielżyńskiego.

(Do illustracyi tytułowej).

Sensacyjny dramat, który przed kilku miesiącami rozegrał się w Dakowach Mokrych, a którego bohaterem był hr. Mielżyński, znalazł obecnie ostateczne swe rozwiązanie przed sądem przysięgłych. Hr. Mielżyński stanął przed nim, oskarżony o zabójstwo swej żony, Felicyi z hr. Potockich, oraz kuzyna jej, Alfreda hr. Miączyńskiego.



Z królestwa Albanii: Ogólny widok miasta Durazzo, stolicy nowego państwa.

Rozprawa trwała kilka dni, przesłuchano szereg świadków, między nimi obok służby także krewnych oskarżonego, których zeznania rzuciły bardzo charakterystyczne światło na podłoże całej sprawy. Stwierdzono między innemi, że niesnaski rodzinne między małżonkami datowały się od r. 1902. Przez pewien czas hr. Mielżyński nie żył nawet wcale z żoną, gdyż ta zdradzała go jawnie. Potem stosunki się poprawiły, zdawało się nawet, że wszystko wróci znowu na najlepsze tory. Tymczasem hr. Mielżyńska okazała się niepoprawną.

W dniu zabójstwa hr. Mielżyński dowiedział się znowu na pewno, że między jego żoną a gościem ich, kuzynem, panuje stosunek zbyt zażyły. Kiedy w nocy usłyszał szmery podejrzane, wziął strzelbę nabił obie lufy i wyszedł, ażeby zbadać przyczynę. Zobaczył wtedy mężczyznę, wymykającego się z sypialni żony. Strzelił dwa razy, nie panując nad sobą.

Lekarze psychiatrzy zeznali na rozprawie, że hr. Mielżyński czyn swój popełnił w stanie największego rozdrażnienia i działał w szale.

Werdykt ławy przysięgłych był dla oskarżonego zupełną rehabilitacyą. Sędziowie zgodnie oświadczyli, że nie jest on winien zabójstwa. Zaraz też wypuszczono go na wolność, a zebrane tłumy publiczności zgotowały mu owacyę. Hr. Mielżyński wzruszony rozpłakał się.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia hr. Mielżyńskiego przed sądem. Prócz tego dajemy podobizny hr. Mielżyńskiego i jego żony.

Zgon zasłużonego pracownika.

Przed kilku dniami zmarł w Szwajcaryi w Badenie znany i ceniony pracownik polski, były kustosz Muzeum w Rapperswilu, Władysław Rużycki de Rosenwerth.

Imię jego złączone jest ściśle z tą świątnicą naszych pamiątek narodowych, jaką jest Muzeum Rapperswilskie. Przez ćwierć wieku przeszło służył mu wiernie, oddając się całkowicie na jego potrzeby. Wyemigrował z kraju jako młody człowiek, aby pracować za granicą i w Monachium założył sklep ze starożytnościami. S. p. Henryk Bukowski, oceniwszy jego zdolności, powołał go na kustosza Muzeum w Rapperswilu. Ćwierć wieku pracy dla tej instytucyi zaznaczyło się obszerną pracą, jaką nad organizacyą Muzeum Zmarły rozwinął. W spuściźnie po nim



Zgon zasłużonego pracownika: S. p. Wł. Rużycki, b. długoletni kustosz Muzeum w Rapperswilu.



Uwolnienie hr. Mielżyńskiego: S. p. Felicya hr. Mielżyńska.



Uwolnienie hr. Mielżyńskiego: Hr. Maciej Mielżyński.



Europa poecie hinduskiemu: Uroczystość wręczenia nagrody Nobla poecie hinduskiemu Rabindranath Tagore (X) w Bolpur.



Ogólny widok Tirany.



Z królestwa Albanii: Na targu w Tiranie.

pozostało tam kilkaset cennych okazów, w szczególności obrazów i numizmatów.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę Zmarłego.

Z królestwa Albanii.

Aspiracye Albańczyków do własnego nie tylko księcia, ale nawet króla, są blizkie urzeczywistnienia. Przed kilku dniami w zamku ks. Wieda, Neuwied, zjawiła się deputacya Albańczyków, która ofiarowała ks. Wiedowi królewską koronę Albanii. Przyjęcie deputacyi odbyło się bardzo uroczyście. Całe miasto i zamek były bogato udekorowane. Na czele deputacyi albańskiej stoi Essad Pasza, który też powitał imieniem całego kraju nowego władcę. Ks. Wied odpowiedział bardzo serdecznie, zaznaczając jednak, że koronę albańską przyjmuje po długim, kilkumiesięcznym namyśle. Uroczyste to oświadczenie rozstrzygnęło ostatecznie sprawę, czy przyszły władca Albanii będzie królem, czy też tylko księciem. Zarówno ks. Wied jak i członkowie deputacyi podkreślili bardzo dobitnie, że Albania staje się królestwem.



Europa poecie hinduskiemu: Dzieci szkoły, którą założył w swej willi Rabindranath Tagore (X) składają mu hołd z okazyi otrzymania nagrody Nobla.

Niestety, królestwo to nie jest tak zachwycającem. Czynione w Durazzo przygotowania na przyjęcie nowego władcy, okazały, że w bardzo ubogich warunkach będzie on musiał rozpocząć swoje panowanie. Okazało się, że „pałac królewski" jest wielką ruderą, w której nawet nie można znaleźć dość ubikacyi na pomieszczenie rodziny królewskiej. Swita króla wogóle nie ma odpowiedniego pomieszczenia, tak, że prawdopodobnie nie będzie mogła mieszkać w Durazzo.

Sam kraj, bardzo górzysty przedstawia się jako



Ogólny widok m. Walony.



Z królestwa Albanii: Stara baszta w Durazzo.



Rozszerzenie linii tramwajowych we Lwowie: Pierwsze tramwaje przed dworcem na Łyczakowie.

teren niewdzięczny. Zamieszkały przez półdzikich Albańczyków, wymagać będzie ze strony nowego władcy wiele pracy i zachodów, zanim stanie się krajem zeuropeizowanym.

Rozszerzenie linii tramwajowych we Lwowie.

Lwów, jako wielkie miasto, posiada kilka dworców kolejowych. Obok dworca głównego jest jeszcze drugi dworzec na Podzamczu dla linii, idących w kierunku Podwołoczysk, oraz trzeci dworzec dla kolei winnickiej na Łyczakowie. Ostatni ten dworzec położony jest dosyć daleko poza głównemi arteryami ruchu ulicznego. To też od dawna stawianym postulatem było urządzenie dogodnego dojazdu do tego dworca, zwłaszcza, że ma on doniosłe znaczenie w lecie, jako punkt wyjścia wycieczkowców podmiejskich w piękne okolice, ciągnące się ku Winnikom i dalej.

Zarząd miasta Lwowa, czyniąc zadość życzeniom obywateli, przedłużył linię tramwaju miejskiego, biegnącą przez ulicę Łyczakowską aż do nowego dworca. Pracy tej dokonano kosztem ćwierć miliona koron. Uroczyste otwarcie tej nowej linii nastąpiło przed kilku dniami. Uczestniczyli w uroczystości delegaci ministerstwa kolejowego i dyrekcyi kolejowej we Lwowie, reprezentanci miasta z wiceprezydentem dr. Stahlem i dr. Schleicherem na czele, oraz grono gości.



Z królestwa Albanii: Stary most w Tiranie



Przesilenie w Anglii: Król angielski udaje się w karocy na otwarcie parlamentu.



Do walki z ogniem: Grupa egzaminatorów i uczestników egzaminu strażackiego we Lwowie.

Do walki z ogniem.

Walka z ogniem, owym niebezpiecznym wrogiem mienia ludzkiego wymaga specyalnego przygotowania fachowego. Ustawa przepisuje też u nas dokładnie warunki, w jakich można obejmować odpowiedzialne stanowiska kierowników straży pożarnych, wymagając od nich znajomości wielu rzeczy, między innemi chemii i fizyki.

Przed kilku dniami odbył się w biurze Krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych we Lwowie taki egzamin na naczelników zawodowych straży pożarnych, do którego zasiadło ośmiu kandydatów. Z ramienia Wydziału krajowego uczestniczyli jako egzaminatorowie pp. dr. Władysław Kozicki, wicesekretarz Wydziału kraj., dr. Fels, kierownik lwowskiej stacyi ratunkowej, Józef Żytny, naczelnik miejskiej straży pożarnej i Bolesław Wójcikiewicz dyrektor biura krajowego Związku strażackiego. Obok egzaminu teoretycznego odbyły się na miejskiej strażnicy pożarnej także ćwiczenia z przyrządami pożarniczymi. Jako uzdolnionych uznała komisya egzaminacyjna pp. Karola Górniaka z Sambora, Maryana Sakiewicza z Przemyśla, Józefa Gargasia z Tarnowa i inż. Walentego Cyłę z Nowego Sącza.

J. POWALSKI.

•• SZTANDARY •• KSIĘCIA JÓZEFA.

9

— A idź se pan, — powiedział nędzarz zmęczonym głosem. — Jak ci spieszno, to se idź. Zrobił im miejsce.

— Kołodziejski! — zawołał Bromirski.

Żołnierz go poznał, wpatrzył się szklanemi oczyma.

— A ino ja, panie szefie.

— Myślałem, żeś zginął.

— Musi to samo, — rzekł żołnierz. — E, niechta! niechta!

Głos i oczy miał jednakowo martwe. Przecisnęli się koło niego. Bromirski odwrócił głowę:

— Pójdź z nami, jeśli chcesz.

Żołnierz mu nie odpowiedział.

— Może myśli, że ja go na posługę albo do pułku, — mówił szef do Ignacego. — Łatwo do ludzi mówić komendą, ale jak komenda pęknie, i wypada mówić jak do równego, trudno się dogadać. Oni zawsze w naszym głosie słyszą komendę.

— W mojej kompanii, — rzekł Ignacy z niejaką chełpliwością, — znaliśmy wszystkich żołnierzy i kanonierów, po nazwisku i imieniu. Zawsze mówiło się z nimi, żyło jak równi z równymi.

Było mu miło, że może zainteresować towarzysza starszego i dostojniejszego tem, co zrobił i jak postępował. Bromirski, który brnął pomału i z wysiłkiem, mruknął:

— Bardzo dobrze.

— Bo uważając zasługi i trudy żołnierzy, — ciągnął dalej Ignacy, — widzi się, że przecież żołnierz równy nam jest...

Przerwało mu nagłe runięcie tłumu, jak jednej masy naprzód. Z tyłu podniósł się jeden ogromny ryk. To baterye nieprzyjacielskie zaczynały strzelać. Były to jakieś strzały zbłąkane, niepewne. Popłoch i napór były tak wielkie, że tłum zrzucił zagrzęzłe wozy w bok, i wypłynął naprzód. Niesiony w ciżbie Ignacy widział chwilami wysypane na bok w błoto i śnieg, srebra, bieliznę, kobierce, papiery, księgi. Nikt nie zbierał, topiły się zwolna w błocie.

Ignacy uważał, by nie zgubić towarzysza. Minęli jakiś mostek. Miał wrażenie, że idą już godzinami, ale po szarości nieba uważał, że musi być ciągle jeszcze ranek. Spychano ich parę razy aż na krawędź grobli. Cudem wpychali się nazad w tłum, gdy tuż tuż mieli polecieć w topiel bagniska, gdzieniegdzie wyzierającą czarnemi łachami z pośród żółtych trzcin i śniegu. Widzieli w niej zanurzonych napoły żołnierzy, którzy pospadali i wili się wrzeszcząc, błagając ratunku. Tłum walił bez żadnej uwagi na nieszczęśliwców, spychał nowych, których nikt nie myślał ratować.

Po pewnym czasie gorączka naporu zwolniała. Droga rozszerzyła się, tłum się rozlał. Dotarli do jakiejś wsi spalonej.

Bromirski ustawał.

— Spoczniemy? — spytał Ignacy, z którego ten szalony marsz zdarł na chwilę ciężką skorupę zziębnięcia i bezdusznego zmęczenia.

— Zdaje się, że jest tu jakaś karczma, — odrzekł Bromirski. — Coś mi siły nie dopisują. Ale nie rób sobie nic z tego młodzieńcze, rzuć mnie, jeśli tylko wyda ci się to wskazanem.

— Panie szefie, — odparł Ignacy, — myślą moją jest odszukać moją kompanię, a wtedy skończą się trudy kolegi, na łożu armatniem będzie ci wybornie jechać.

— Niestety, — powiedział Bromirski. — niewiadomo, kiedy ją odszukasz, tę kompanię. Łatwiej zdybiemy jakiś wóz ze znajomymi, albo dostaniemy konia.

Cisnęli się do karczmy, która pozostała niespalona. Jednakże nie tylko karczma, ale i dziedziniec przed nią, były tak napchane ludźmi, że pozostali przed nią w ścisku.

Żołnierze, podobniejsi do zbójów, maroderzy z tłumokami na plecach i pałkami w ręku, baby z dziećmi ze spalonej wsi, wszystko to tłoczyło się przed nimi.

— Pójdźmy siąść gdziekolwiek na zgliszczach, — rzekł Bromirski.

Powlekli się gdzieindziej. Z ciężkości chodu towarzysza wnosił Ignacy o jego złym stanie. Ulokował go na jakimś wale ziemnym. Sam ruszył na poszukiwanie drzewa, chrustu, czegokolwiek wreszcie, by rozłożyć ogień i choć trochę się ogrzać. Błądził po niewyraźnych w szarym mroku i śniegu zwaliskach. Nigdzie nic. Spłoszył tylko jakiegoś nędznego psa, który skrył się przy rozwalonym kominie swej chaty. Powrócił z ciężkiem sercem. Głód trawił go nieznośnie. Odnalazł towarzysza, rozluźniającego szmaty na swych nogach.

— Chcę je natrzeć śniegiem, — rzekł, — może będzie lepiej.

Zsuwał krwawe szmaty, tem czerwieńsze, im bliżej były ciała. Ukazały się nogi jego, straszne, rozpuchłe, wydęte zimnem, z otwartemi ranami.

— Ba, ba! — rzekł Bromirski, — widzisz no? Tu niema z czem żartować. Ale dajno śniegu, to je przetrę.

Ignacy podał mu kilka razy w obu dłoniach.

— Tak — a teraz zawinę. Babrze się człowiek, jak baba. Z podłej gliny jesteśmy, panie kolego.

— W te szmaty? — zawołał Ignacy. — Poczekaj pan choć chwilę, pójdę poszukać, może od którego z maroderów co kupię.

Dostał rzeczywiście jakieś buty, każdy inny, i jakieś łachmany, tyle, że suche. Wrócił z tem. Z wielkiem zadowoleniem obydwóch, Bromirski okręcił nogi gałganami, ubrał się w buty, i oświadczył, że to go pokrzepiło znacznie.

— Swego czasu — rzekł — lubiłem mieć bieliznę codzień świeżą, i staranność w ubiorze. Ale, powiadam ci, że mało kiedy taką czułem przyjemność z mojej elegancyi, jak dziś z tych oto trepków.

Mówił tak, aby pokazać Ignacemu wdzięczność. Jednakże zmęczenie go nie opuściło. Obawiał się sam przed sobą, że nie zdoła iść dalej.

— Musimy coś zjeść, — rzekł do Ignacego. — Masz tu moją kieskę młodzieńcze, idź i zakup cośkolwiek. Rządź nią, jak ci się wyda najlepiej.

— Zaraz, — odrzekł Ignacy.

Puścił się w stronę karczmy. Sam także gwałtownie uczuwał głód, mdlący go, i pragnienie, od którego zsychało się gardło.

Drogą szła jakaś piechota regularna. Podsunął się bliżej wśród innych. Francuskie znaki. Potem trochę jazdy. Dalej kareta na saniach. Tłum, gapiący się, odstąpił. Ignacy, patrząc w okno karety z ciekawością, poznał w niej cesarza. Podniósł rękę do czoła, salutując wyprostowany. Ujrzał za karetą siedzącego marszałka Davoust: bladego, z oczyma obróconemi przed siebie nieruchomo, jakby zastygłego w natężonem osłupieniu. Stracił on swój korpus i odtąd nie mógł przyjść do siebie. Obok niego Berthier: ledwie go rozpoznał w łachmanach, którymi był okryty.

Ignacy przeprowadził ich oczyma, z ręką przy skroni, i westchnął ciężko. Spuścił głowę i krótko pomyślał o rozwiązaniu się tej wspaniałej armii w bezładne kupy nędzarzy, o upadku tych wodzów, o zatracie wszystkiego, co tak składnie, tak świetnie wiodło i trzymało te niezliczone pułki, mężne, najwybitniejsze w świecie szeregi.

Gdy patrzył na wynędzniałą gwardyę i wynędzniałe postacie wodzów, przesunęły mu się w myśli biura administracyi, które tak sprawnie działały, lustracye wojsk, staranność, rzetelność ekwipowania na tę wyprawę. I wcześniej jeszcze: szczęśliwa, radosna, dzielna kampania dziewiątego roku, najjaśniejsze wspomnienie wiosny, chwały, nadziei... I nieugięte bitwy, trudy tej kampanii we wrześniu, w październiku, gdy jeszcze armia była wojskiem porządnem, napoleońskiem wojskiem niezwyciężonem. Tyle męstwa, tyle cudów odwagi, na co się zdały?

Podniósł zeszklone oczy przed siebie, i sunął ku karczmie, zmniejszony, zgarbiony, obojętny.

Nadarzyli mu się maroderzy przy ogniu. Kupił od nich za kilka złotych garść kartofli, przelicytowawszy jakiegoś nędzarza, który odszedł z niczem.

Skupieni maroderzy uważnie słuchali targu. Gdy Ignacy ruszył, przytrzymał go któryś i łamaną francuzczyzną zaproponował kupienie konia. Uradowany, poszedł go obejrzeć. Była to chuda szkapa chłopska, zrabowana widocznie w którejś wsi. Ignacy niedługo się targował, w obawie, by się nie znalazł inny amator. Zapłaciwszy słono, wziął za parcianą taśmę wiszącą na szyi konia i pociągnął go za sobą. Konik był mały, jak kuc, ze zmierzwioną grzywą, nakrywającą oczy. Ignacy z tryumfem i wzruszeniem doprowadził go przed Bromirskiego. Postawili konika przy sobie, i jedząc kartofle jeszcze ciepłe, karmili go łupinami. Następnie Bromirski siadł na szkapę i ruszyli. Świat przedstawił im się teraz jakiś mniej ostry, zaradność ludzka więcej warta. Ignacemu ciężyły przemokłe i oblepione błockiem buty, ale zapominał o nich, zajęty drogą.

Cały dzień szli z kupami ludzi traktem, który, minąwszy moczary, ciągnął się teraz lasami. Po południu zaczął padać wielki śnieg.

— O, źle! — mówił Bromirski, — nie będzie można schodzić z traktu w las rozkładać ogniska. Scisną się na trakcie, i znów będą bójki i awantury.

Ignacy brnął obok konika.

— Żeby to jakie sanki, — rozmyślał głośno.

Nogi mu tak przemokły, tak przemarzły, że szedł jak na klocach, w których czuł tylko tępy i ustawiczny ból. Uważnie spoglądał na trupy, które czerniały z pod śniegu, niezupełnie zasypane. Ciągle bowiem przypominał sobie o tem, że nic nie mają do jedzenia na wieczór, i miał nadzieję znaleźć jaki porzucony tłumok z żywnością, jak to się nieraz trafiało.

Zmierzch zapadł, gdy szli milczącym lasem, wśród coraz gęściej mrowiącego się w powietrzu śniegu. Jeszcze musieli się zatrzymać z powodu zbiegowiska.

Ujrzeli na skraju drogi siedzącego oficera w jednym tylko mundurze, w którym poznali hesskie odznaki. Obskoczyli siedzącego maroderzy, westfalowie, najgorsze w armii zbóje, okrutnicy i tchórze wierutni. Jedni bili bezbronnego kolbami, pałkami, drudzy zdzierali mu buty. Wreszcie przysiedli go, obdarli z munduru. Ruszyli, zostawiając pokrwawionego. Żywo popędzili przed siebie. Oficer wstał, chwiejąc się, i ruszył traktem bez butów i czapki, w lecącej z ciała bieliźnie.

Widać było, jakie dreszcze go trzęsą, jak zsiniał, jak krwią znaczył ślady, a mimo to szedł wytrwale, jak mara, ciągnięty jeszcze mimo wszystko jakąś nadzieją? jakimś instyktem, za hordą, która mu nic dać nie chciała, nie mogła.

Bromirski siedział skulony na koniu. Mając buty, konia, perspektywę wydobycia się, czuł się winny wobec tego nieszczęsnego. Zwyczajny sarkazm znikł mu z myśli. Mróz zresztą wzrastał. Szli tak w milczeniu z pół godziny, trochę tylko wyprzedzając obdartego. Po pół godzinie ów począł się chwiać. Ocierał raz po raz pieniące się usta skostniałą ręką. Upadł, wstał, upadł znowu. Z tyłu szły ciężkie furgony, które natychmiast przeszły przez jego ciało. Ignacy, obejrzawszy się, ujrzał jakby krwawą szmatę wprasowaną w koleje wozów, którą już śnieg zaczął zaprószać.

— Bywają rzeczy nad siły, — rzekł niewyraźnie Bromirski.

Brnęli znowu w milczeniu dalej.

— Za wiele okropności, i struna pęka, — odezwał się znów Bromirski ochrypłym głosem. — Musimy asystować widokowi zbydlęcenia ludzi bezradnie. I nie tylko to, musimy asystować wyjściu zwierza z nas samych, i uznać za najlepsze iść za jego radami. Taka to jest lekcya chrześcijańskiej pokory, pokazująca, jak razem z tymi wszystkimi i my bydłem jesteśmy, i jak bez wyjścia musimy... Podła glina! Tacy jesteśmy. Tacy jesteśmy.

Ignacemu przeszły w pamięci, jak lekkie cienie, wspomnienia dalekie, dalekie, gdy było ciepło, jasno, zielono, i żegnał się z ojcem, na polach strzelczyńskich. Wspomniał nalegania i rady ojca, powieść o kapucynie, który pozdrawiał aniołów stróżów spotkanych ludzi, radę pamiętania o godności ludzkiej. W uszach posłyszał tak wyraźnie głos ojca, że się mimowoli obejrzał.

— Spieszmy, — rzekł, — bo nas noc tutaj zaskoczy, a w tym śniegu jeszcze zbłądzimy.

Dobili się do jakiejś mieściny, którą żołdactwo rozrywało, burząc domy i podpalając, aby się ogrzać. Niektóre domy jeszcze stały, inne wypuszczały dym gęsty oknami i z pod dachu. Wielki budynek drewniany spłonął ciemno-krwistym ogniem, i wśród kłębów dymu i sypiących się iskier rzucał krwawe światło, jak zlewę krwawą, na uwijających się czarnych ludzi i na zburzone domy.

Zasadą Ignacego, wyrobioną już od czasu pieszej wędrówki, było nie stawać nigdy tam, gdzie zastawali pierwsze ognie. To też usiłowali wyminąć coraz gęstszą ciżbę w rynku. Ale bocznych ulic nie było. Przebrnęli środkiem, przyczem konik z Bromirskim omal nie utonął w kałużach pełnych tnącego jak szkło lodu. Dobyli się na drugą stronę rynku. Tu były miejsca już urządzone: wielkie ogniska płonęły z jakąś wesołością ponurą wśród wrzasku ludzi, w ciemności nocy, czarnej jak atrament.

Była to długa i porządnie zbudowana ulica. Teraz domy napchane były żołdactwem. Wśród światła ognisk przewijały się wystraszone i nędzniejsze jeszcze od rabusiów postaci mieszkańców miasteczka, obdartych, pobitych, wyrzuconych z swych mieszkań.

Ulica, którą ciągle brnęli naprzód, rozglądając się, gdzieby stanąć, napełniła się nagle szczelnie zwartą masą posuwającego się wolno w ciżbie wojska. Na zmarzłej grudzie, pomieszany rytm niezliczonych kroków przysypał jednostajnie wrzask i rumor otaczający.

— Co za jedni? — z ożywieniem spytał Bromirski. — Zobaczno kolega — nie widzisz? Może nasi?

Ale Ignacy, przysunąwszy się, dosłyszał rozmowy francuskie, i ustąpił zawiedziony.

Gdy wojsko przeszło, ujrzeli się przed murowaną

karczmą, którą zajmował jakiś sztab. Widzieli konie, jakiś furgon pilnie strzeżony, sanki, i kręcących się zbrojnych żołnierzy. Ich widok powstrzymywał tłoczących się teraz drogą maroderów od napaści na karczmę, furgon i sanie.

Obok karczmy był obszerny dziedziniec ze studnią i żórawiem. Studnia opanowana była przez oddział, niewiadomo, czy wojska, czy maroderów westfalskich. Rozłożyli oni wielki ogień i przyrządzali jakieś jedzenie.

Głód i pragnienie podwójnie dopiekały na widok ludzi, którzy już doszli do posiadania ognia i przyrządzania wieczerzy. Ignacy z konikiem i Bromirskim u boku weszli na dziedziniec.

— Napijmy się przynajmniej wody, — rzekł Bromirski ochryple: — Weźno mój garnuszek.

— Konia teżby trzeba napoić.

Bromirski zlazł na ziemię. Konik otrząsnął się, i posłusznie ruszył za Ignacym ku studni.

— Czego chcesz? — łamaną francuzczyzną krzyknął wielki chłop, zastępując drogę Ignacemu, gdy się zbliżał do żórawia.

— Idź swoją drogą! — odrzekł Ignacy ostro, nie zatrzymując się.

Chłop skoczył jak zwierz po bagnet, i nastawił się jak do uderzenia.

Odrazu paru innych, porwawszy bagnety, przyskoczyło od ognia, by go poprzeć. Wrzeszczeli i klęli po niemiecku, że nie dopuszczą do wody, że nikt tu nic nie ma do szukania ani brania.

Ignacego brała wściekłość. Widział się jednak słabszym, i bez nadziei zwycięzenia ich siłą. Uciekł się do rozumowania:

— Nie ubędzie wam przecie wody, kiedy ja się napiję.

Tamci miotali się, wrzeszczeli, ci, co siedzieli i stali dalej, powrzaskiwali potwierdzająco. Było w tem tak mało sensu, taka złość bezmyślna i bezcelowa, że Ignacy, gdyby nie padał sam z pragnienia, mógłby się śmiać.

— Zwierzęta! — myślał z ostatnią pogardą.

Wtem wpadło mu na myśl zażądać interwencyi wojskowych z karczmy. Udało to się wybornie. Żołnierze przyszli poić swoje konie przyczem Ignacy napoił i swego, i zaspokoiwszy pragnienie, nabrał wody pełny garnuszek dla Bromirskiego. Działo się to wśród głuchych mruków i warczenia poskromionej bandy. Złość w nich wrzała, bryzgała mruczanemi groźbami. Gdy Ignacy mijał ostatnich, ostrożnie niosąc w jednej ręce pełny garnuszek, a drugą prowadząc konia, nagle któryś plunął mu w wodę, drugi podbił garnuszek pałką, reszta rzuciła się bić.

Ignacy krzyknął, widząc zmarnowaną wodę, i z taką pasyą porwał się do bicia, momentalnie chwyciwszy szablę, że choć sam jeden i smukły młodzik, przecież odepchnął kupę napastników: rozstąpili się charcząc, plując klątwami, i tylko drżąc do zwarcia się powtórnego.

Ale Bromirski, który widział z daleka awanturę, zaalarmował któregoś z oficerów. Ten, przyjrzawszy się kotłującej się kupie, wziął kilku żołnierzy, poskoczył, i roztrącając bandę, żądał od Ignacego wyjaśnienia rzeczy. Ignacy ochłonął, natychmiast schował szablę, poczuł się w godności oficerskiej. Opowiedział krótko zdarzenie. Wskazał w przybliżeniu winnych, tego, który plunął, tego, który mu wytrącił garnuszek. Oficer kazał ich natychmiast aresztować. Ani Ignacy nie był pewny, czy dobrze ich wskazał, ani oficer, czy tych samych, co wskazał, wzięto. Obaj wiedzieli, że idzie o wymierzenie kary, danie przykładu całej rozbestwionej bandzie, mniejsza o to, którzy do tego zostaną użyci.

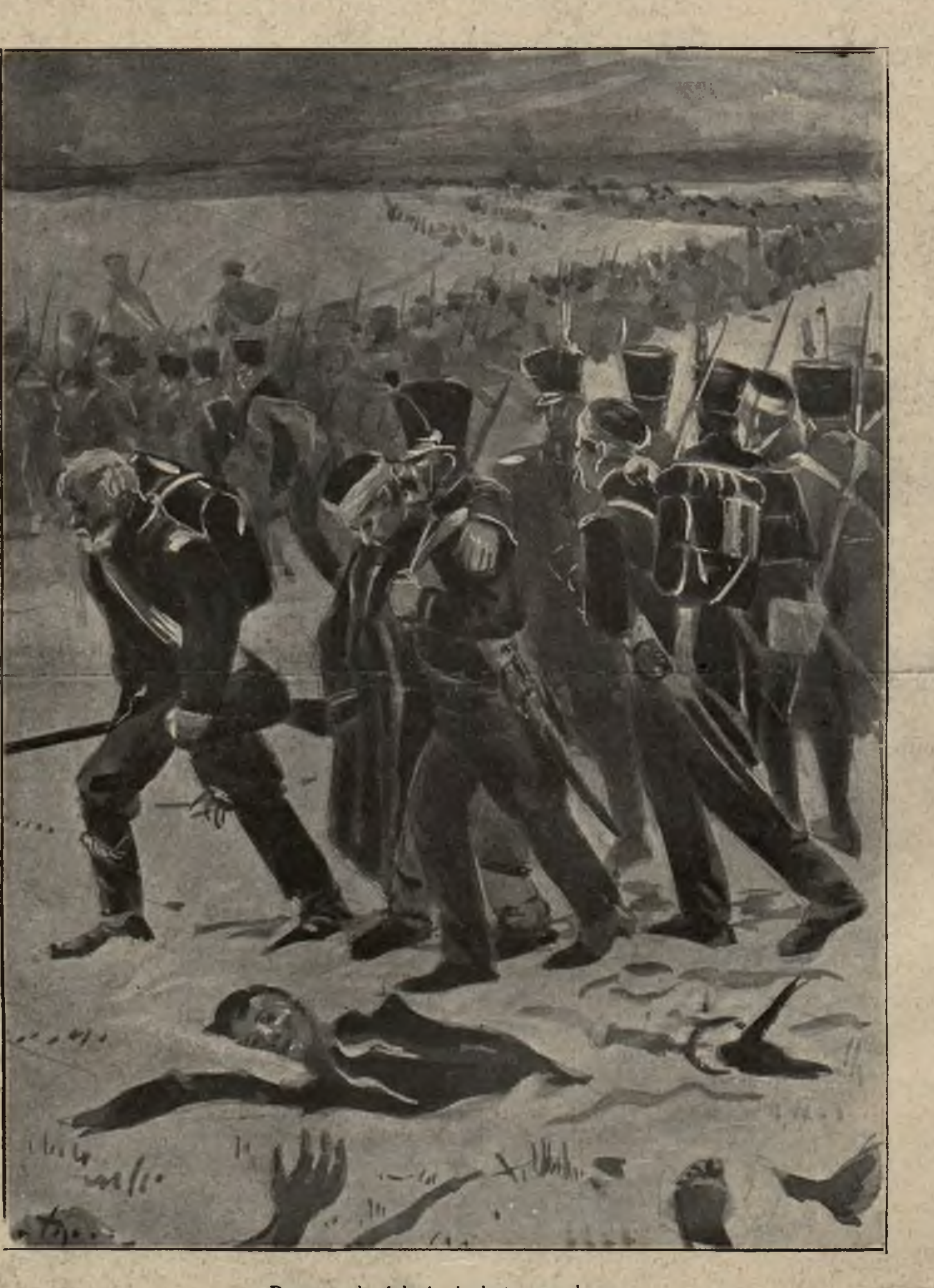
— Pójdź pan, — rzekł oficer uprzejmie. — Może zmieścicie się na noc z nami w izbie.

Odeszli, Ignacy prowadząc konia, i nabrawszy znów wody. Bromirski czekał przed karczmą.

Chciwie wypił wodę.

Oddawszy konia w ręce żołnierzy, weszli obaj za swym gospodarzem do izby. Było tu nadzwyczajnie ciasno i duszno. Mały ogień palił się w wielkim piecu chlebowym. Człowiek w grenadyerskiej czapie, który, jak się okazało, był kucharzem tego towarzystwa, gotował coś przy ogniu w wielkim saganie. Przy świetle dymiącej szczapy, zatkniętej w obdartą z tynku ścianę, schylało się kilka twarzy nad jakąś mapą. Od strony światła były czerwone, od strony cienia czarne. Wpośród wojskowych zauważyli kilka bab z dziećmi. Nikt nie zwracał na nie uwagi, one siedziały z oczyma wytrzeszczonemi przed siebie, machinalnie potrząsając zawinięte niemowlęta i ogarniając od czasu do czasu wystraszone kilkolatki, przytulone do nich, a wielkiemi oczyma pożerające to, co się działo w izbie. Podłoga zasłana była jakimś barłogiem, na którym leżeli pokotem wojskowi. Tylko środkiem można było przejść od drzwi do komina. Drugie drzwi były do alkierza, otwarte, ziały ciemnością, ale dostęp do nich zatarasowany był ciałami leżących.

Z niewymowną ulgą przekonali się, że uda im się spać w tak wybornem miejscu, pod dachem, między całemi ścianami i w obecności wygrzanego pieca. Natychmiast usiedli na słomie. Siedzieć jest rozkoszą także. Jeszcze jednak rozkoszniej jest położyć się, rozciągnąć na boku, leżeć, jak rzucona na ziemię płachta, nie czując ani rąk, ani nóg, ani nic na świecie.



Drogą szła jakaś piechota regularna.

Jednakże, rozciągnąwszy się, uczuli wnet zjadliwe i coraz szerzej z różnych punktów rozłażące się po ciele swędzenie. Nie sposób było rozbierać się. Od tygodni już nie rozpinał nikt munduru, czy łachmana, który posiadał na grzbiecie. Robactwo nie dawało im na razie usnąć tak zupełnie, jak do tego ciążyły głowy i ciała opadłe z sił.

Dano im jeść gotowaną kapustę.

Oficer, który ich zaprosił, siadł obok nich. Był to człowiek krępy, silny, wygolony ongiś, dziś o szorstkiej, krótkiej runi blond na policzkach i brodzie. Miał oczy ostre, stale jakby załzawione od mrozu, czy od wiatru, wskutek czego mrużył powieki i ściągał brwi, co mu nadawało wyraz gniewu i niezadowolenia.

Nawpół leżąc, począł im uzasadniać konieczność surowości. Twierdził, że to jeszcze ostatni ratunek w tym potopie nieszczęść.

Mówiąc, drapał się systematycznie i machinalnie.

— Żołnierz dobry powinien być jak maszyna. Żołnierza prowadzi dyscyplina, wszystko reszta to nic. Bez dyscypliny nic nie pomoże, ani żołd, ani zwycięstwo, wojsko się zmarnuje.

Nie odpowiadali mu. Ale on mówił dalej południowym akcentem francuskim, śpiewnym i obcym:

— Wielka siła jest właśnie w tem, aby rozumieć, co to jest dyscyplina: że to jest wszystko. Każę mu stać: ma stać, choćby do końca świata. Każę strzelać..

— No, — odezwał się Bromirski głosem podbitym szyderstwem, — zawsze przyznasz pan, że i sława coś znaczy, i że nie tylko dlatego walczy żołnierz o zwycięstwo, że mu to nakazano.

— To mnie nic nie obchodzi, — rzekł Francuz, — co się w nim dzieje. Ja na niego patrzę, jak na moją myśl, ubraną w ciało po to, by mogła trzymać karabin i razem z innymi karabinami ewoluować wedle mej woli.

— Patrzeć mogę, jak chcę, — odparł Bromirski, — to nie zmieni faktu, że pozostaną w nich jeszcze uczucia i myśli, które mogą podziałać także, i skrzywić moje obliczenia.

Francuz go nie słuchał.

— Patrz pan, — rzekł, — zaraz panu wykażę, o co mi idzie, i że mam racyę. Teraz, widząc te wszystkie tłumy bandytów, w których przemienili się nasi żołnierze, co pan w nich widzi? Widzi pan w nich bandytów, którymi są. A ja wcale nie: ja w nich widzę wyzutego z karności żołnierza. Pan myśli, że oni czują i postępują, jak bandyci, a ja wcale nie myślę o ich duszach, tylko o złowieniu ich ciał na nowo. Czyli ja widzę w nich armię — pojmuje pan teraz? Dla mnie armia istnieje. A dla pana nie. Pan nie ma racyi, ale ja jestem dobry żołnierz.

Tu umilkł. Dziwny kurcz ściągnął mu twarz, która z ceglasto-sinej od przymrozeń i wiatrów, stała się szara, jak popiół. Szczęknęły mu w jakiś szczególny sposób zęby, co rozbudziło i Ignacego. Widać było, że chce wypowiedzieć coś ponad swoje siły. Wreszcie rzekł:

— Jestem z korpusu marszałka Davoust.

Zaczął mówić jak w gorączce, szybko, przekonywująco:

— Na początku mieliśmy sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Wychodząc z Moskwy — dwadzieścia siedm. Pod Wiazmą trzynaście. Nad Berezyną tysiąc dwieście. Mało, co? Mało?

I nagle załkał, zawinął głowę, i wtulił ją w słomę. Wychodziły stamtąd jakby chrapania, świsty, jęki, wszystko zdławione, tak, że nikt w izbie nie zwrócił na to uwagi.

Bromirski przez parę chwil patrzył na tarzającego się ze współczuciem.

Potem powiedział do Ignacego:

— Śpijmy. Zdaje mi się, że my Polacy, więcej możemy mieć powodów do rozpaczy, no, ale cóż z tem zrobić? On musi je mieć także.

— Nasze wojsko przecież się nie rozsypało, — rzekł Ignacy z dumą, czując niemal szczęście w duszy. — Nasze wszystkie trzy korpusy są przecież w stanie... w stanie...

Jeszcze coś mu się marzyło silnego, dzielnego, dumnego, krok konnicy, dudnienie armat, miarowy marsz piechoty, jak akordy męstwa.

Chciał to powiedzieć i usnął.

XI.

Przed oczyma otchłań zimna, osędziała nocy. Daleko, daleko jak nieruchome iskry stoją jakieś drobne ogniska pomarańczowe.

Ignacy z Bromirskim brnęli przed siebie w głębokim śniegu, który padał i padał jeszcze. Konika nie mieli: maroderzy westfalscy wyrznęli mu w nocy przez zemstę pieczeń z uda. Gdy następnie trzeba było ruszyć z powodu bójki o miejsce w karczmie, którem zawładnęli nowi przybysze, zastali swego konia stękającego w kałuży zmarzłej krwi. Ignacy dobił go szablą. Natychmiast żołnierze od sani i furgonu zgłosili się do mięsa. Gdy rozdzierali skórę, Ignacy zawahał się, czy nie przezwyciężyć swego oporu i nie wziąć także kawałka. Ale Bromirski pociągnął go:

— Pójdź kolega, — rzekł. — Nie jesteśmy wilkami.

— Nie będzie coś jeść — odpowiedział Ignacy ociągając się.

— Może być — zgodził się Bromirski.

Ciąg dalszy nastąpi.

Bomby w Galicyi.

Zły przykład działa... W Galicyi zaczynają coraz częściej wydarzać się wypadki, które przypominają stosunki panujące w Rosyi. Bandytyzm, rozwielmożniony tam przez pewien czas, przenosi się już i do nas, a rewolwer i bomba zaczynają i u nas wchodzić w „modę“.

Doświadczyła tego przed kilku dniami rodzina przedsiębiorcy Hersza Sobla w Mikuliczynie. O godzinie trzeciej nad ranem wykonano na dom jego zamach dynamitowy bombami.

Zbrodniarz rzucił dwie bomby dynamitowe przez okno do pomieszkania, w którem na szczęście nikt nie spał. Bomby eksplodując, wyrządziły w pokoju straszne spustoszenie, drzwi i okna powyrywały, a całe urządzenie zostało kompletnie zdemolowane. Trzecią bombę rzucił zbrodniarz do pokoju po przeciwnej stronie budynku umieszczonego, w którym spał syn i teść Sobla, ale lont zgasł i tylko temu zawdzięczać mogą oni swe ocalenie.

Jak stwierdzono, dynamit, z którego bomby były



Bomby w Galicyi: Trzecia bomba (X), rzucona przez okno do mieszkania Sobla w Mikuliczynie, która skutkiem zagaśnięcia lontu nie wybuchła.

sporządzone, pochodzi z kradzieży, którą popełniono przed miesiącem w tamtejszym kamieniołomie.

Śledztwo, wszczęte natychmiast przez żandarmeryę w Mikuliczynie, skierowane zostało przeciwko hucułowi Stefanowi Kapitańczukowi, ponieważ tenże miał z Soblem zatargi i odgrażał się, że sprawi mu coś takiego, czego świat jeszcze nie widział. Wobec tego Kapitańczuka aresztowano i odstawiono do sądu powiatowego w Delatynie. Kapitańczuk już raz przed około 16 laty wymordował był całą rodzinę Spieglów w Jamnej obok Mikuliczyna, jednakowoż uznany został wówczas za umysłowo chorego i na tej podstawie uwolniony.

Z lotu ptaka.

Często z westchnieniem patrzymy na przelatujące nad głowami naszymi balony lub aeroplany.



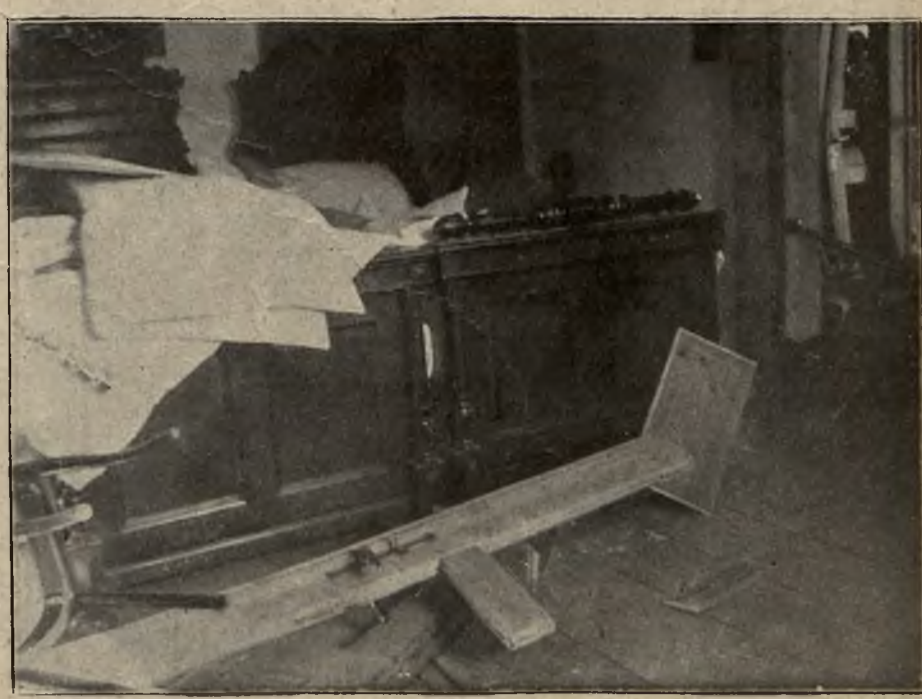
Z lotu ptaka: Widok tumu i placu św. Szczepana w Wiedniu z wysokości czterystu metrów.
(Fot. konkursowa, „Lotnika“).

Coraz bardziej rozwijająca się awiatyka, umożliwiając ludziom wznoszenie się i przebywanie w przestworzach, budzi wśród coraz szerszych sfer „górnolotne“ aspiracye i każdy przynajmniej raz w życiu pragnąłby znaleźć się na takim latającym ptaku i poszybować w przestworza.



Z lotu ptaka: Widok cesarskich muzeów i wjazdu do Burgu w Wiedniu z wysokości trzystu metrów.





Bomby w Galicyi:
Mieszkanie H. Sobla w Mikuliczynie, zdemolowane przez wybuch dwu bomb. Pokój sypialny Sobla, przytykający do pokoju, w którym bomby eksplodowały.



Sztuka futurystyczna: „Przy porannym papierosie".

Wszystko tam w górze wydaje się być innem, i powietrze i ludzie, domy i t. d. Słowem, cała ziemia zmienia swą fizyonomię, kiedy, oderwani nagle od niej, znajdziemy się poza nią, a właściwie nad nią.

Jeden z przyjaciół naszego pisma nadesłał nam na konkurs szereg zdjęć, dokonanych z balonu nad Wiedniem, które umieszczamy w tym numerze. Zdjęcia te dokonywane były z różnej wysokości 200, 300 i 400 m. Różnią się też bardzo między sobą. Najbardziej fantastyczne i odbiegające od schematu zwykłych fotografii jest zdjęcie z największej wysokości. Kościół św. Szczepana i jego otoczenie przedstawia się jako ugrupowane domki z kart. Jak widać z rzucanych cieniów, zdjęcia dokonano popołudniu w dniu słonecznym. Na ulicy panuje ruch, ale z tej wysokości ludzi już prawie rozróżnić nie można.

Inaczej jest na dwu innych zdjęciach. Zdjęcie z wysokości 200 m., przedstawiające teatr nadworny, parlament, ratusz i t. d., daje nam dokładny obraz ruchu ulicznego. Widać przechodniów, pojazdy, pędzące tramwaje.

Na zdjęciu z wysokości 300 m. ludzie przedstawiają się już tylko jako punkciki z podłużnymi cieniami.

Istotnie, świat widziany z „lotu ptaka" przedstawia się zupełnie inaczej i jest najlepszym wyrazem jego znikomości i marności... Olbrzymie budowle stają się maleńkiemi, jakby dziecięcemi zabawkami, a „pan stworzenia" — człowiek — niknącym w tym bezmiarze punkcikiem.

Sztuka futurystyczna.

W sztuce współczesnej, tak pełnej „nowych prądów", jednym z najrozgłośniejszych obecnie jest t. zw. futuryzm. Wyszedł on z Włoch, przeszedł przez alembik centralny Paryża i obecnie odbywa pochód niemal tryumfalny przez inne stolice Europy.



Skoki na nartach: Główna odskocznia narciarska podczas dorocznych zawodów w Holmenkollm w Norwegii.



Z lotu ptaka: Widok Ringu, teatru, parlamentu i ratusza w Wiedniu z wysokości dwustu metrów.

Na razie rozgłos jego jest raczej sukcesem śmiechu i humoru, niż blaskiem sławy.

Aby zapoznać naszych czytelników nie tylko ze słyszenia, ale i z widzenia z ekscentrycznym futuryzmem, podajemy kilka illustracyi, przedstawiających w karykaturze sztukę futurystyczną. Zresztą karykatury te, zamieszczone w jednem z zagranicznych pism illustrowanych, są tylko wiernem naśladownictwem prawdziwych obrazów futurystycznych i doskonale charakteryzują ten głośny dziś kierunek w malarstwie. Na czem polega futuryzm?

Twórca i pierwszy głosiciel futuryzmu, młody poeta włoski Marinetti, jako dwie główne zasady pozytywne futuryzmu (obok negatywnej — bezwzględnej pogardy dla przeszłości i jej dzieł) postawił: ruch i indywidualność. Futuryzm jest sztuką życia nie w jego skamieniałych już formach, lecz w jego ruchu, stawaniu się; i futuryzm głosi bezwzględną, niczem nie krępowaną wolność rozwoju indywidualnego zarówno narodów, jak jednostek ludzkich. Na tych dwóch zasadach oparły się też zarówno poezya, jak malarstwo i rzeźba futurystyczna.

Poezya więc futurystyczna obok zdań, słów i wogóle dźwięków mowy artykułowanej, posługuje się także dźwiękami nieartykułowanymi dla wyrażenia tego ruchu życia: tsss—świszcze n. p. drut telegraficzny, bu-u-u-m — wybucha działo i t. d. Do tego przyłączają się wrażenia indywidualne autora, który niczem nie jest krępowany w ich oddaniu.

Tak samo plastyczna sztuka futurystyczna nie krępuje się kanonami piękna ani formy sztuki dawniej, sztuki „strupieszałej“. Jeżeli n. p. futurystyczny malarz patrzy na ulicy na piękną kobietę i właśnie n. p. przelatującego ptaka przed jej nosem — to nie krępuje się zgoła w namalowaniu jej portretu, na którym cały środek twarzy zajmować będzie, dajmy na to, jaskółka lub wróbel. Trudno, on to tak widział w danym momencie; oddzielać wrażenie twarzy kobiecej od wrażenia ptaka, byłoby to „strupieszać“, robić martwemi oba te wrażenia, które właśnie w mózgu i oczach artysty żyły tylko razem.

Co więcej, malarz czy rzeźbiarz futurystyczny, aby nie uronić nic z ruchu życia i pełni wrażeń, odtwarzać może w obrazie lub rzeźbie także i te myśli, wspomnienia, skojarzenia i obrazy, które mu w chwili tworzenia przelatywały przed oczyma duszy.



Sztuka futurystyczna: „Przebudzenie“.

Więc n. p., jak widzimy na rysunku „Przy porannym papierosie“, jegomość siedzący w wygodnym fotelu klubowym i bujający nogami (dlatego właśnie mamy tu cztery (!) nogi, że znajdują się one w ruchu!) przebiega niejako myślami wrażenia z poprzedniego dnia i marzenia, nawiewane mu przez dymek z papierosa („ona“ także naturalnie figuruje widmowo i „jej“ boskie oczy) — podczas gdy jednocześnie przed jego oczyma przesuwają się fragmenty widoków z ulicy, widzianych przez otwarte okno. Wszystko to naturalnie znajduje się w takim ruchu i takiem pogmatwaniu, jak w oczach i głowie artysty. Nie pozbawiona logiki w swem założeniu i pomysłach, w swem wykonaniu plastycznem sztuka ta nie jest też daleka od — absurdu. „No, albo życie współczesne, a i życie wogóle nie jest absurdem?“ — odpowiadają na to panowie futuryści i także nie są dalecy od racyi...

Jak już wspomnieliśmy, futuryzm wyszedł z Włoch, jako wyraz protestu przeciwko „muzealności“ tego kraju, nad którego sztuką zwłaszcza przeszłość ciąży piękną wprawdzie, ale ciężką „zmorą“. Marinetti i grupujący się koło niego młodsi poeci sławili pęd ekspanzywny „młodych Włoch“, wojnę trypolitańską, rozwój przemysłu włoskiego i t. d. zdaniami rozumowemi i w bardzo pięknych nawet zwrotach, a jednocześnie pisali poematy dźwiękonaśladowcze i. na zwykły rozum, pozbawione zdrowego sensu. Gdy futuryzm wraz z Marinettim przeniósł się do środowiska wszelkich nowych idei i nowych prądów — Paryża — udało mu się z pośród kolonii włoskiej pozyskać na adepta między innymi wcale zdolnego, młodego malarza i rzeźbiarza „zwykłego“ Boccioniego. Później grupa ta artystów futurystycznych pomnożyła się, objęła wszystkie plemiona nowoczesnego Babilonu.

Co w przyszłości z tego ruchu futurystycznego wyniknie, przewidzieć trudno. Nie ulega jednak wątpliwości, że obecne tak bezsensownie przesadne jej formy są raczej symbolicznemi dziwolągami, niż dziełami sztuki.

Chleb dla głodnych.

Wielka nędza wśród klas pracujących wywołała we Lwowie smutne rozruchy, które szerokiem echem



Sztuka futurystyczna: „Polowanie na jelenia“.

odbiły się w całym kraju. Stały się one motywem do podjęcia szerokiej akcyi ratunkowej. Niestety! aż walk ulicznych trzeba było, aby poruszyć opieszałych i zmusić sfery rządzące do szczerego zaopiekowania się galicyjskimi bezrobotnymi.

krajowy, który rozpoczął różne ziemne roboty w okolicach Lwowa, dając zatrudnienie około 1000 robotnikom.

Poza pomocą ze strony władz, inicytatywa prywatna podjęła także akcyę ratunkową. Piśma ogłocyalnie ustanowiona komisya kontrolna z ramienia danego stowarzyszenia sprawdza nazwiska zgłaszających się i rozdziela po jednym, po dwa lub nawet trzy bochenki. Ilość chlebów zależy od wielkości rodziny zgłaszających się. Przed stołem, przy którym





Chleb dla głodnych: Rozdawanie chleba przez organizacye robotnicze we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Namiestnictwo lwowskie w porozumieniu z prezydyum m. Lwowa zaproponowało rządowi podjęcie szeregu budowli rządowych, któreby zatrudniły kilkuset ludzi. Do Wiednia wyjechała deputacya złożona z posłów m. Lwowa wszystkich obozów politycznych, która u premiera gabinetu i u ministrów podjęła energiczne kroki celem przyspieszenia decyzyi w sprawie nowych budowli.

Z pomocą bezrobotnym pospieszył także Wydział siły składki na zakupno chleba dla bezrobotnych, a organizacye zawodowe podjęły się rozdawania go zgłaszającym się biedakom.

Ofiary na ten szlachetny cel popłynęły raźnie, ale mimo, iż zebrano już kilka tysięcy koron, nikną one jak krople w wielkiej ogólnej nędzy.

Rozdawanie chleba odbywa się w bardzo trudnych warunkach. Tłumy ludzi zbierają się w lokalach, w których rozdawnictwo się dokonywa. Specyalnie — odbywa się rozdawnictwo, stale panuje taki ścisk, że chwilami istnieje obawa, iż cały tłum wtargnie do pokoiku, gdzie chleb się magazynuje.

We Lwowie lokalów, gdzie rozdają chleb, istnieje obecnie cztery.

Podajemy kilka illustracyi przedstawiających wydawanie chleba.



Sztuka futurystyczna: „Na balu".

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

14

Służący wybiegł pospiesznie, a pani Macallister przy pomocy Gordona ułożyła omdlałą na sofie i zaczęła wraz z Peggy rozcierać jej zimne ręce. Ciągle jeszcze odurzony silnem wrażeniem — przypatrywał się Gordon, jak obie panie zmusiły przychodzącą wreszcie do siebie Beatryczę do napicia się szampana. Środek ten wywarł pożądany skutek; lekkie zaróżowienie pokryło blade jej policzki i Beatrycza zrobiła wysiłek, chcąc się podnieść. Bez przerwy, od chwili otwarcia oczu patrzyła w Gordona, jak gdyby się obawiała, że jak zjawisko, zniknie jej lada chwila.

— Donald — Donald — więc to ty istotnie!? — szepnęła wreszcie. Powoli wracała jej przytomność, a wraz z nią także świadomość wypadków, twarz ściągnął jej skurcz wewnętrznego bólu i krzyknęła nagle:

— Don — Don! — jak mogłeś?...

— Cicho — moja najdroższa! — mylisz się, mylisz się w zupełności — jestem niewinny!

Oczy Beatryczy rozszerzył promień radosnej nadziei, zaczęła niepewnie spoglądać od jednego do drugiego, jakby w oczach otoczenia szukając pociechy.

— Tutaj — pij jeszcze szklankę, Beatryczo! — napomniała pani Macallister — która była szczerze przekonana, że dobry haust w odpowiednim momencie leczy wiele chorób. — Niech pani zbierze wszystkie swoje siły, gdyż zdaje mi się, że dzisiejszego wieczora oczekuje nas wiele niespodzianek.

— Ma pani racyę, łaskawa pani Macallister — oświadczył Gordon — a właśnie za panią stoi ktoś, kto najlepiej wszystko opowie.

Pani Macallister odwróciła się gwałtownie. Ruch jej był tak szybki, że ręką strąciła kosztowną wazę ze stołu.

W drzwiach za nią stał Dik Tillinghast.

— Na Boga! — wykrzyknęła wzruszona, niecierpliwość jej bowiem, spowodowana chęcią usłyszenia o rozwiązaniu dramatu, pomieszała się z uczuciem gniewu z powodu rozbicia tak drogiej wazy.

— Chodźże pan prędzej! — Diku! — i mów, opowiadaj obszernie o tem, co się stało.

Dik przysunął sobie krzesło, które Peggy mu wskazała. Aby zaś skrócić męki oczekiwania, widząc błagalny wzrok Beatryczy Trevor, oświadczył zwięźle i sucho:

— Prawdziwy morderca, hrabia Smirnow, złożył obszerne zeznania.

Peggy i jej babka aż krzyknęły ze zdziwienia. Beatrycza osunęła się wzruszona na kanapkę i nie mogła słowa wymówić. Zakryła tylko twarz rękami, a gorące łzy poczęły powoli spływać po przez palce.

Po chwilce usłyszał Gordon, jak cicho szeptała:

— O Boże! dzięki ci stokrotnie!

Wtedy zapomniał o tem, iż ludzie na nich patrzą, rzucił się przed nią na kolana i zawołał:

— Najdroższa, czy przebaczysz mi kiedykolwiek, że na chwilę o tobie zwątpiłem? Ja, który nie jestem godzien...

Beatrycza podniosła nań swe rozpromienione oczy.

— Cicho! — szepnęła. — Nie mów tak, niech nigdy więcej tego nie słyszę. I ja także zasłużyłam na naganę.

— Przepraszam — wmieszał się Dik do rozmowy — żadne z was nie powinno robić sobie wyrzutów. Oboje byliście tylko ofiarami przykrych okoliczności. Zdaje mi się jednak, że oboje już dosyć zagadek w ostatnich czasach mieliście do rozwiązania. Możebyśmy teraz spróbowali rozwiązać kilka z nich? — dodał, zwracając się do Beatryczy.

— Ależ i owszem — odpowiedziała rozpromieniona. — Od czego mam zacząć?

— Co pani myśli, gdybyśmy tak n. p. zaczęli od waszego ślubu? — zaproponował Dik, uśmiechając się szelmowsko.

— Jakto? — zdumiała się Beatrycza. — A pan skąd wie o moim ślubie?

— Wiem, gdyż przypadkiem to mój brat był owym księdzem, który wam ślub dawał.

Gordon zdziwił się także niepomiernie.

— Nigdy nie byłoby mi nawet przez myśl przeszło, aby owego człowieka łączyć w jakikolwiek sposób z panem — oświadczył. — Ale mów dalej, moje serce... — dodał, zwracając się do Beatryczy, której rękę powoli i serdecznie ujął w swe dłonie.

— A więc w listopadzie ubiegłego roku pojechałam do Filadelfii w odwiedziny do ciotki mojej, pani John Dundas. W domu było mi bardzo źle i czułam się nieszczęśliwą. Sekretarz Clark starał się o moją rękę, a moja macocha popierała jego starania. Pan Clark zachowywał się nie bardzo właściwie...

Zarumieniła się silnie.

— O ile chciałam w domu mieć spokój, musiałam bardzo przyjaźnie do niego się odnosić. Skoro tylko bowiem Clark spostrzegał, że trzymam się zdala od niego lub skoro tylko ostrzej mu odpowiedziałam, zaraz szedł do mej macochy i wywodził wielkie skargi. Wtedy oboje wymyślali różne historye przeciw mnie, które opowiadali ojcu. Ten wierzył w te wszystkie kłamstwa i dzięki poduszczeniom macochy, nieraz robił mi gorzkie wyrzuty, przeciw którym ja znowu bardzo ostro nieraz musiałam się bronić. Nieraz pani Trewor sama przestawała mnie już dręczyć, nasyciwszy się tem do woli, wtedy jednak Clark pobudzał ją do nowych niegodziwości. Oni oboje, jak się przekonałam, też nie byli zbyt dobrymi przyjaciółmi. Spodziewałam się też, że wreszcie któraś z ich kłótni spowoduje, że Clark dostanie dymisyę. Zdaje mi się jednak, że on miał ją zupełnie w swej mocy, obawiała się bowiem konieczności otwartego zerwania stosunków....

— Ma pani najzupełniejszą racyę — przerwał jej Dik rozpoczęte zdanie. — Właśnie przed chwilą widziałem pana Clarka. Szef policyi Connor, badając go bardzo zręcznie krzyżowemi pytaniami, zdołał wydobyć z niego całą prawdę. Zdaje się... Dik dobierał w myśli odpowiednich słów, aby rzecz przedstawić możliwie spokojnie — że pani Trevor przed laty w Neapolu utrzymywała bardzo bliski stosunek z Giovannim Savelli. Po upływie roku pokazało się jednak, że piękna pani zdradza go z drugim. Przypuszczam, że tym drugim był właśnie Clark. Do tego jednego nie chciał się przyznać. W każdym razie Savelli zagroził, że ją zabije. Wyrzucił ją tylko na racie na ulicę. Taki był wściekły, że pani Trevor jeszcze tego samego dnia uciekła z Neapolu.

W pewien czas potem, kiedy było już po ślubie, przybył do Waszyngtonu Clark i dzięki wstawiennictwu pani Trevor, został sekretarzem generalnego syndyka. Aby panią Trevor utrzymać pod swym wpływem, zagroził jej, że Savelli jej szuka, aby się zemścić na niej i że natychmiast zawiadomi go o miejscu jej pobytu, jeśli ona nie spełni wszystkiego, czego od niej Clark zażąda. Proszę sobie teraz wyobrazić, jaki dzięki temu pomysłowi ten łotr wpływ posiadał. W czasie, kiedy oboje przebywali w Neapolu, należeli, zarówno pani Trevor, jak i Clark do organizacyi Camorry.

Kiedy Clark zaczął się obawiać, że pani Trevor mogłaby w przystępie gniewu opowiedzieć mężowi, kim on właściwie jest, postanowił się jej pozbyć. W tym celu, przed około sześciu tygodniami, zawiadomił on Savellego, że pani Trevor zdradziła włoskiemu posłowi szereg ważnych tajemnic Camorry. Aby sprawę jeszcze lepiej upozorować, sam w imieniu pani Trevor wysłał do poselstwa kilka listów. Wobec oskarżeń Clarka, dowódcy Camorry podjęli dochodzenia, które dzięki sprytowi łotra dostarczyły zupełnie konkretnych danych o winie pani Trevor, którą webec tego skazano na śmierć.

— Ach! jakiż potwór! — wykrzyknęła wzburzona pani Macallister.

— Będzie on miał teraz dosyć czasu w którem z naszych więzień, aby żałować za swe grzechy — zauważył Dik sucho. — Zechce pani może dalej opowiadać, panno Beatryczo!

— Zaraz po przyjeździe do Filadelfii, poznałam Donalda na balu marynarskim, który odbył się na wyspie League, gdzie wtedy Gordon był stacyonowany. Na Boże Narodzenie zaręczyliśmy się...

Gordon podniósł rękę jej do ust i ucałował serdecznie.

— Byłam bardzo, bardzo szczęśliwa. 29 grudnia otrzymałam nagle list od mojego ojca, w którym mi doniósł, że Clark oświadczył mu się o moją rękę, a on po dłuższej, dojrzałej rozwadze dał swoje przyzwolenie. Tłomaczył następnie obszernie, jak wielkie korzyści zapewnia mi to małżeństwo. Z każdego wiersza czytałam wpływ mojej macochy, któremu widocznie ojciec nie mógł się oprzeć. W końcu listu dodawał ojciec zapewnienie, że naturalnie — nigdy nie zechce mnie zmuszać, abym wbrew mym skłonnościom wyszła za mąż, ma jednak nadzieję, że... i tak dalej w tym sensie. List ten zmartwił mnie bardzo, łaskawa pani Macallister, a Donald kiedy go przeczytał, zaproponował mi, abyśmy natychmiast potajemnie wzięli ślub. Zgodziłam się na to. Do spisku wciągnęliśmy i moją ciotkę. Ponieważ i ona była przekonana, że ojciec zawsze będzie działał pod wpływem macochy, sama przyznała, że wcześniej lub później i tak zmuszeni bylibyśmy do tego kroku. Zresztą i ona lubiła bardzo Donalda i wierzyła mu tak silnie, iż sama oświadczyła gotowość przygotowania wszystkiego do naszego ślubu. Zaraz po ceremonii kościelnej, na drugi dzień, powróciłam do domu i Donald przyjechał w dzień później i zameldował się do służby w „Białym domu“.

— O Don! — wykrzyknęła nagle Beatrycza. — Dlaczego tłomaczyłeś mi wtedy, że prezydent przyjmuje tylko adjutantów kawalerów? Dlaczego tym błahym powodem wstrzymałeś mnie przed wyznaniem prawdy i ogłoszeniem naszego ślubu? Powinieneś mi był w całej pełni zaufać i wszystko powiedzieć.

— Tak, niesprawiedliwie postąpiłem — odpowiedział Gordon poważnie. — Nie możesz jednak pojąć, w jak trudnem położeniu wtedy się znajdowałem. Opowiadaj jednak ty najprzód, moje serce.

- Czułam się bardzo dotknięta twem postępowaniem — ciągnęła dalej Beatrycza — choć starałam sobie tłomaczyć, że wszystko, co ty robisz, jest dobrem. I tak ciągnęła się ta sprawa aż do owego nieszczęsnego trzeciego lutego wieczorem...

Urwała i odetchnęła głęboko.

— Zeszłam wtedy, ubrana w suknię balową, na dół, aby pojechać wraz z Peggy na bal. Ku memu zdziwieniu w hali zatrzymała mnie pani Trevor i wezwała na konferencyę do biblioteki. Mimo zewnętrznej wielkiej grzeczności unikałyśmy się, o ile tylko można było. Zapytała mnie, czy prawdą jest, że odrzuciłam ostatecznie propozycyę pana Clarka. Kiedy potwierdziłam ten fakt, najpierw napadła na mnie z wściekłością, potem zaś, zmieniając ton, przeszła do próśb najuniżeńszych, tłomacząc mi, że powinnam Clarka poślubić, gdyż inaczej mogłabym żałować mojego postąpienia. Wobec tej groźby roześmiałam się i oświadczyłam jej, że mam innego, lepszego człowieka, któremu dałam już moje słowo. Wtedy ona zapytała:

— A kto jest owym wybrańcem fortuny?

— Donald Gordon — odpowiedziałam.

Wtedy podeszła do swego biureczka, wydobyła z szuflady paczkę listów i podając mi je, rzekła:

— Obawiam się, że twój rycerz bez zmazy i skazy jest tylko zwykłym człowiekiem, jak wszyscy inni. Przeczytaj ten list, który on do mnie napisał.

Przerażona spojrzałam na podany mi papier, poznałam tak drogie mi pismo. Przeczytałam pierwsze słowa — były to wyrazy gorącej miłości — tak, Donaldzie!

Zaklął on bardzo brzydko w tej chwili i chciał jej przerwać, ale Beatrycza nakazała mu ręką milczenie i ciągnęła dalej:

— Pozwól, niech skończę moje opowiadanie. Potem ty będziesz mówił. A więc... przez moment pociemniało mi w oczach. Przypomnij sobie, że już przedtem dałeś mi dosyć powodów, abym mogła zwątpić o tobie. A pani Trevor była taka piękna, taka pociągająca; miałam aż za dosyć dowodów jej zwycięstw nad mężczyznami. Zebrałam jednak całą moją odwagę. Nie chciałam uznać się za pokonaną, roześmiałam się tylko i oświadczyłam, że nie wierzę jej ani przez chwilę. Wtedy ona zaśmiała się urągliwie i podała mi jeszcze jeden list... list, w którym pisałeś, że późnym wieczorem tego dnia przyjdziesz i zapukasz lekko do drzwi wchodowych, aby cię mogła niepostrzeżenie wpuścić. Ten list zniweczył wszelkie moje nadzieje.

Dałam jej twój sygnet, który od dnia naszego ślubu nosiłam zawsze przy sobie i powiedziałam jej, aby go tobie zwróciła, gdyż między nami wszystko jest już skończone. Trzymałam już rękę na klamce drzwi, kiedy pani Trevor odezwała się jeszcze do mnie:

— Jestem gotowa nie nalegać na twoje małżeństwo z Clarkiem, ale pod jednym warunkiem.

— A ten byłby? — zapytałam.

— Że dasz mi perły twojej matki.

Przez chwilę patrzyłam na moją macochę bez słowa, gdyż zdawało mi się, że postradała rozum. Jakto? Perły prześliczne mej drogiej, kochanej mateczki?! Dziadek Trowbridge skupował je sztuka po sztuce ze wszystkich stron świata. Abstrachując już od tego, że nie byłabym się za żadne skarby świata rozstała z perłami mej drogiej matki, przedstawiały one wartość około dwudziestu tysięcy dolarów. Przypuszczałam więc, że źle ją zrozumiałam i zapytałam jeszcze raz:

— A twoja cena?

— Znasz ją już — brzmiała odpowiedź.

Tego było już za wiele! Panowałam dotychczas z całych sił nad sobą, straciłam jednak w tym momencie wszelką władzę nad mym gniewem i zawołałam:

— Ty dyable, zejdź mi z drogi! Inaczej mogłabym się zapomnieć i uderzyć cię!

Słowa te słyszał właśnie Wilkins i... reszta zginęła w gwałtownem łkaniu.

Po dłuższej przerwie Dik podjął znowu przerwane opowiadanie:

— Clark przyznał mi się, że pani Trevor starała się o zebranie większej sumy pieniędzy, aby okupić jego milczenie. Widocznie zdała sobie sprawę z tego, że doszła do reszty swych zasobów.

— Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada — szepnęła pani Macallister.

ROZDZIAŁ XXIV.

Ludzie, którzy się kochają.

— Droga Beatryczo, dlaczego zamilczałaś o złamanej szpilce do kapelusza i gdzie ją po morderstwie znalazłaś? — zapytała Peggy, która wreszcie zdobyła się na odwagę, aby wytoczyć na tapet sprawę, najbardziej ciążącą jej na sercu.

Twoje pudełko otworzyło się, kiedy pewnego razu zamykałam gwałtownie moją tajemną szufladę. Kiedy wypadła z niego szpilka, poznałam ją natychmiast po główce. Ale ani przez moment nie pomyślałam, że ty jesteś winna, najdroższa! — dodała szybko z głębi serca.

— Nie, ani przez chwilę tak nie myślała — potwierdził Dik. — W istocie najgorętszem życzeniem Peggy było, aby panią uwolnić od wszelkich podejrzeń. Ona też nakłoniła mnie do poszukiwania prawdziwego mordercy.

— Peggy, droga, słodka Peggy! — Beatrycza pochyliła się ku niej i ucałowała serdecznie.

— Najlepsza i najprawdziwsza ze wszystkich przyjaciółek! Czy otworzyłaś pudełko?

— Cóż ty sobie wyobrażasz? Jak możesz tak mnie posądzać? Ja nie! — odpowiedziała Peggy, szczerze oburzona. — Szpilka wypadła sama z pudełka, kiedy część jego się oderwała. Wsunęłam ją po prostu z powrotem do środka, nie przeglądając zresztą zawartości pudełka.

— Wolałabym była, abyś była zajrzała do wnętrza. Wtedy zrozumiałabyś lepiej wszystko. Pod watą leżała nasza metryka ślubu, a szpilkę położyłam na wierzch, ponieważ ojciec po pierwszem przesłuchaniu mnie, zapewnił, że, jeśli nie uda się znaleźć narzędzia mordu, nie można będzie Donaldowi udowodnić jego winy. Nie ma bowiem właściwych powodów do takiego czynu. Szpilkę tę znalazłam dopiero po pogrzebie macochy przez czysty przypadek. Kiedy mianowicie zaczęłam nosić żałobę, wszystkie moje suknie postanowiłam posłać mej przyjaciółce do Nowego Yorku. Ponieważ chciałam to prędko załatwić, a Zuzanna miała wolne popołudnie, sama zabrałam się do składania rzeczy, które wyjmowałam z szafy i układałam na łóżku, aby je spakować. Gdy składałam suknię balową, którą miałam na sobie trzeciego lutego, spostrzegłam ową nieszczęśliwą szpilkę, która główką zaplątała się w dolną koronkę. Zmartwiałam po prostu z przerażenia, nie wątpiłam bowiem ani na chwilę, że właśnie tę moją szpilkę użyto, aby zamordować macochę. Wiedziałam, że zapomniałam ją na biurku w bibliotece, kiedy popołudniu byłam tam, aby do Peggy kilka słów napisać, które zawiozła jej uprzejmie pani Macallister. Widocznie ta nieszczęsna szpilka zaplątała się w tren mojej sukni, kiedy opuściłam go na ziemię, aby otworzyć zatrzask drzwi. Wydawało mi się, że policya nie zechce uwierzyć w tę moją historyę, skoro dowie się, że szpilka znajduje się w moim posiadaniu. Dlatego postanowiłam zapakować szpilkę do pudełeczka i oddać Peggy do przechowania. Co zeznawałam o moim powrocie owego wieczora z balu, wszyscy słyszeliście — ciągnęła dalej. — Kiedy dowiedziałam się, że pani Trevor została zamordowana, przypuszczałam, że Don zabił ją w chwili ogromnego uniesienia. Czy będziesz mi to mógł przebaczyć, mój drogi Donaldzie?

— Ależ o tem nie może być mowy — zawołał Donald, przyciskając jej rękę serdecznie do ust. — Miałaś wszelkie podstawy, aby mnie nie dowierzać. Nikt tutaj nie zawinił, tylko ja sam. Zachowałem się jak zaślepieniec. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że przed czterema laty poznałem w Londynie twoją macochę jako Helenę de Beaupré i jak wielu innych, zakochałem się w niej na zabój. Stosunek nasz skończył się tem, że Helena znudziła się mną i zerwała ze mną.

— Chwileczkę! — wpadł mu Dik w słowa.

— Czy prawdą jest, że Alfred Clark widział was, jak oboje z Heleną de Beaupré bawiliście w ministeryum spraw wewnętrznych, aby uzyskać pozwolenie na ślub?

Gdyby ktoś był rzucił bombę między obecnych, nie byłaby ona sprawiła większego wrażenia, niż te słowa. Gordon zerwał się, jak gdyby go trafiła kula karabinowa i popatrzył się na Dika wielkimi, zdumionymi oczyma.

— Wielki Boże! Ależ z tego Clarka jest łajdacki kłamca! — zawołał wreszcie.

— Pewien cień prawdy tkwi w tej sprawie rzeczywiście. Istotnie oboje byliśmy tam i mówiliśmy nawet z owym urzędnikiem, który wydaje specyalne pozwolenia na śluby. Oczekiwaliśmy przybycia Sama Petersa, który w Londynie prócz swej narzeczonej, nie miał nikogo znajomego. Prosili oni nas oboje, abyśmy spotkali się z nimi w ministeryum, gdzie chciał właśnie podjąć owo pozwolenie na ślub. Stamtąd mieliśmy się udać prosto do kościoła i służyć im jako świadkowie przy ślubie. Pan zna przecież Sama, panie Tillinghast? On potwierdzi moje opowiadanie, jeśli pan go o to zapyta.

— O, broń Boże! Gordonie! Twoje słowo mi wystarczy w zupełności — zapewnił Dik gorąco.

— O naszym ślubie Beatrycza już wam opowiadała — ciągnął dalej Gordon. — Nie miałem najmniejszego pojęcia, że Helena bawi w Waszyngtonie i dopiero na przyjęciu, które wydawaliście w kilka dni po mojem przybyciu, spotkałem ją niespodziewanie i wtedy dopiero odkryłem straszną prawdę, że macocha mej żony i Helena de Beaupré są jedną i tą samą osobą. Ponieważ przywitała się ze mną jak z obcym, poszedłem za tym dobrym przykładem. Spostrzegła ona potem prawdopodobnie, jak bardzo kochałem Beatryczę. Zrobiła wobec mnie kilka aluzyi w tym kierunku i dodała, że ma jeszcze kilka z owych głupich, przeczulonych listów, jakie posyłałem jej przed laty.

— Nic nigdy nie wyrzucam, o czem przypuszczam, że będę mogła z tego wyciągnąć odpowiednie korzyści — powiedziała mi zupełnie szczerze. — Czy pan przypuszcza, że syndyk generalny przyjmie przychylnie pańskie starania o rękę jego córki, jeśli dostanie do rąk te listy?

Zgłupiałem po prostu wobec cynizmu, z jakim te słowa były powiedziane i nie przypuszczałem ani na chwilę, że ona mówi na seryo.

Tygodniami całymi bawiła się potem mną, jak kot myszą, i rozciągała mnie na moralnych torturach. Wreszcie pewnego dnia napisała mi, że odda mi owe nieszczęśliwe listy, jeśli przyjdę do niej w nocy o wpół do dwunastej. Pełen radości, poszedłem o naznaczonej godzinie i sama pani Trevor wpuściła mnie do domu. Udaliśmy się prosto do biura i tam odezwała się do mnie szeptem:

— Oto są pana listy. Oddaję je panu za darmo. Przedtem jednak musisz mi pan dać uroczyste słowo honoru, że nigdy nie wspomnisz o nich ani słowem przed moim mężem lub Beatryczą.

Rzecz prosta, że dałem jej to przyrzeczenie i opuściłem zaraz potem dom państwa Trevorów, aby jak najspieszniej powrócić do domu i spalić owe złowieszcze listy. Potem udałem się na bal.

— Na Boga, to ona ci nic nie powiedziała o mojem poleceniu i nie oddała ci mojego pierścionka? — zawołała Beatrycza bardzo wzburzona.

— Nie. Ani jednego, ani drugiego nie zrobiła.

— Przebiegła kobieta! — zauważyła pani Macallister. — Dowcipnie zamknęła panu usta, uzyskując od pana honorowe zobowiązanie, że Beatrycza nie dowie się nigdy o owych listach; z drugiej zaś strony Beatrycza, nie mając ze strony pana żadnego wyjaśnienia sprawy, musiała go uważać za niewiernego i z pewnością ze swej strony nie byłaby nigdy pana o owe listy zapytała. Tymczasem zrobiła rachunek bez gospodarza, nie wiedząc nic o waszym tajemnym ślubie. Pani Trevor umiała doskonale spekulować na ludzkich namiętnościach i naturze. Ułożyła sobie bardzo zręczny plan, który miał was oboje na zawsze rozdzielić, a z którego ona jedna wychodziła obronną ręką.

— Pani bardzo słusznie rozumuje, kochana pani Macallister — odpowiedział Gordon. — Pierwszy list, który pokazała Beatryczy, był prawdopodobnie przed laty pisany. Byłem głęboko dotknięty i urażony, kiedy na balu ty, Beatryczo, nie chciałaś ze mną mówić, a zwłaszcza, kiedy odesłałaś mi mój list nierozpieczętowany. W zdumienie wprawiło mnie wezwanie na przesłuchanie w domu Trevorów w charakterze świadka. Ale przerażenie moje nie miało granic, kiedy na rozprawie pokazano mi pierścień, o ktorym mi sama opowiadałaś, że się z nim nie rozłączyłaś nigdy. Miał on znajdować się w ręku zamordowanej. Momentalnie przeszła mi przez głowę myśl, że wy obie w nocy posprzeczałyście się i poróżniły i... Boże przebacz mi!...

Gordon nie mógł już dalej mówić, a Beatrycza pochyliła się ku niemu, patrząc weń błyszczącym wzrokiem.

— I dlatego... — zawołała — dlatego wziąłeś całą winę na siebie, aby mnie ratować! O Don, jakżeż bardzo cię kocham!

Nie zważając na obecnych, rzuciła mu się na szyję i ucałowała gorąco.

Pani Macallister przełknęła coś gwałtownie, a Peggy schowała zroszoną łzami twarzyczkę w najbliżej leżącą poduszkę.

— Proszę, opowiedz pan, jak znaleźliście prawdziwego mordercę, proszę, panie Diku! — zwróciła się po chwili do milczącego dziennikarza. Wszyscy z zapartym oddechem słuchali fantastycznej opowieści o śmierci Smirnowa.

— Trochę wiadomości o tej strasznej sprawie przedostało się do dzienników — zakończył Dik. — Zupełnie nie można jej było zataić, choćby ze względu na żyjących, których należało zrehabilitować.

— Mój biedny ojciec! — wykrzyknęła Beatrycza. — Gdzie on też teraz przebywa?

— Jest w domu, bardzo przybity temi strasznemi odkryciami.

— Spieszę do niego — oświadczyła Beatrycza. — Proszę, sprowadź mi dorożkę, Don.

— Moja czeka przed domem, ale moje złoto, nie możesz przecież jechać bez płaszcza — odpowiedział Gordon, zatrzymując ją, kiedy nie zastanawiając się nad niczem, pospieszyła ku drzwiom.

Peggy na te słowa zerwała się i pobiegła na górę po jej rzeczy.

— Panno Trevor — zwrócił się do niej jeszcze Dik — czy pani w ową środę nie zostawiła przypadkiem swej chusteczki do nosa w biurze?

— Tego nie pamiętam, być może, że upuściłam ją, kiedy zawiadomiono mnie, że nadjeżdża powóz Peggy. Wiem, że kiedy w sieni wybuchnęłam płaczem, Peggy musiała mi swojej chusteczki pożyczać. Serdeczne dzięki, droga moja Peggy! — zawołała, kiedy Peggy powróciła z jej płaszczem.

Hurley zniósł kufer z rzeczami do dorożki.

— Oto pudełko, Beatryczo — podała jej Peggy tajemniczy przedmiot.

Beatrycza zawahała się, wkońcu jednak odebrała je.

— Gdyby nie to, że wewnątrz jest nasza metryka, nie dotknęłabym go już nigdy więcej!

— W takim razie mnie je oddaj!

Gordon wziął z jej rąk pudełko i schował do kieszeni paltota.

— Metrykę dostaniesz z powrotem, moje serce, jutro zaś wybiorę się na most nad Potomakiem i tam zatopię szpilkę.

— Dobranoc pani, pani Macallister!

Beatryczy łzy zakręciły się w oczach, kiedy całowała starą damę.

— Nie wiem, jak gorąco mam podziękować pani za tyle dobroci i miłości? Dobranoc kochana, moja Peggy.

Szybko podała jeszcze w gorącym uścisku rękę Dikowi i zbiegła spiesznie i lekko po schodach.

Gordon pomógł jej umieścić się w dorożce, wskazał woźnicy adres i stanął następnie w postawie wyczekującej przy drzwiczkach. Beatrycza wtedy pochyliła się ku niemu i wskazała ręką na drugie puste miejsce obok siebie.

— Donald — jedź ze mną, drogi mężu!

Przy słabem świetle wieczornych latarń zabłysły mu jej oczy, pełne tkliwej i gorącej miłości. Wskoczył szybko do wnętrza, a kiedy powóz ruszył, główka jej w rozmarzeniu szczęścia spoczęła na jego ramieniu.

* * *

Dik pospieszył za Peggy z bijącem sercem. Teraz albo nigdy! Pani Macallister dyskretnie zniknęła z pokoju.

— Peggy, zaczął i zaszedł jej drogę koło kominka — mam pani coś do powiedzenia...

— A więc mów pan — odpowiedziała wyzywająco. Zauważyła jednak w tej chwili jego poważną minę i zawołała bojaźliwie:

— Gdzież to się babunia podziała?

— E! co tam babunia! — brzmiała niezbyt grzeczna odpowiedź młodego człowieka.

— Peggy, droga... słodka... teraz mi już nie wymkniesz się.

Uskoczyła szybko trochę na bok i stała odwróciwszy się odeń.

— Od lat panią ubóstwiam, prawie od dzieciństwa. Pani jeden jedyny raz dała mi troszkę nadziei, kiedy pani wypowiedziała znane wezwanie. Zwyciężyłem — Bogu niech będą dzięki! Ale teraz serce moje pragnie cię — moja jedyna!

Hamując wybuch gorącej namiętności, dodał przekonywującym głosem:

— Peggy, przyszedłem, aby otrzymać nagrodę.

Nie było odpowiedzi. Na kominie sęk jakiś strzelił tysiącem iskier. Dik odetchnął głęboko i wyprostował się dumnie. A więc niech będzie! Należało mu odejść.

Kiedy się poruszył, Peggy zwróciła troszkę ku niemu swoją purpurową prawie od łun twarzyczkę i z roześmianych oczu strzelił ku niemu jasny promień.

— Dlaczego sam sobie nie bierzesz twej nagrody? — szepnęła.

KONIEC.

Pogrzeb jenerał-gubernatora warszawskiego.













1) Kondukt pogrzebowy wyrusza z b. Zamku królewskiego. 2) Jenerałowa Skałłonowa z synem i córką za trumną. 3) Delegacye oficerów z orderami zmarłego jen. Skałłona. 4) Delegacye wojskowe na placu Teatralnym. 5) Delegacye cechów rzemieślniczych z chorągwiami przed pomnikiem Mickiewicza. 6) Prezes warszawskich teatrów rządowych p. Małyszew przed Zamkiem.

Kronika tygodniowa.

Aczkolwiek niniejsza kronika, jako pierwsza w Wielkim Poście, miała być mym listem pasterskim do pobożnych Czytelników w kwestyi czynienia pokuty i żalu za karnawałowe wybryki, poświęcić ją przecież muszę jeszcze owym zeszłotygodniowym „klinom“, mianowicie teatrowi i tańcom.

Tango spadło wówczas z porządku dziennego z powodu braku miejsca, wspomniałem zaś, że jest to dla kronikarza *vis major,* coś w rodzaju paragrafu czternastego, na podstawie którego pan metrampaż rządzi, jak mu się podoba. Ponieważ zaś wypoczął sobie w czasie ośmiotygodniowego strejku, nic dziwnego, że teraz chce wyładować nagromadzoną energię i hejże na kronikarza!

Ale ja się na niego nie gniewam.

Do spraw teatralnych powracam zaś, zmuszony listem pana: „Jednego z wielu“, datowanym z Krakowa, dnia 20 lutego b. r.

Pan ów, osłodziwszy najpierw pigułkę, którą mi następnie podaje, pochwałą kronik, godzi wprost w moje serce i przypomina mi własne moje przyznanie, że, niestety, mylę się nieraz w swych przepowiedniach politycznych i meteorologicznych, więc też, *eo ipso,* i w sprawie krakowskiego teatru bardzo mi wierzyć nie można.

W obronie własnej odpowiem tyle, iż meteorologia i polityka to co innego, teatr zaś co innego. Referent od wielkoświatowej polityki, nadający jej ton i kierunek, rezyduje daleko, takiż pan od pogody znajduje się znowu bardzo wysoko, trudno więc zetknąć się z nimi osobiście i zasięgnąć języka. Pomyłkę łatwo więc wytłumaczyć, zwłaszcza, że polityka i meteorologia, to kwestye bardzo nieuchwytne i lubiące robić niespodzianki.

Ale nie koniec na tem! W dalszym ciągu listu owego czytam, co następuje: „a to tem bardziej, że kto tam wie, czy z p. Pawlikowskim nie wychyliłeś również kilku jenerałówek, przetrąciwszy bułką z polędwicą i popiwszy pilznerem, jak to niedawno, do czego się otwarcie przyznajesz, uczyniłeś z jednym z kandydatów na miejskiego radcę“.

I znów przypomnieć Ci muszę, mój prześladowco, że bezpośrednio po tem dodałem wyraźnie, iż ja swych zasad nawet za bułkę z polędwicą, jenerałówkę i pilznera nie sprzedaję!

Tyle w obronie mej bezstronności.

Przejdźmy jednak do *meritum* sprawy. Esencyą listu jest sam jego środek, gdzie znów czytam:

„Z ubolewaniem nadmienić muszę, ja i grono, bardzo obszerne grono, podobnie myślących kulturalnych ludzi, z prawdziwą przykrością stwierdzić musi upadek obecny teatru krakowskiego. Za rządów Solskiego lub Kotarbińskiego mieliśmy rzeczy, o których się p. Pawlikowskiemu może nigdy nie śniło, słyszeliśmy takie dzieła, jak... (tu następuje wyliczenie dwudziestu siedmiu tytułów sztuk, z których, pozwolę sobie zauważyć, kilka przedstawiono już za rządów obecnego dyrektora)... a teatr nie świecił pustkami, gdy p. Pawlikowski karmi nas jedynie jakiemiś muchami, Pygmalionami, prezesowemi, feministkami...“

Otóż w kwestyach politycznych i meteorologicznych mogę się mylić, na teatr patrzę się zaś własnemi swemi oczyma i to do tego w okularach i widzę na sztukach poważnych takie pustki w krzesłach, lożach i na galeryi, że doprawdy aż się człowiekowi słabo robi. Autor listu przyzna też, że chyba i artystom nie sprawia to wielkiej przyjemności, jeśli muszą grać przed audytoryum, w którem zajęte są tylko gratisowe miejsca. Nie mówię już o przedsiębiorcy, który, choćby kochał sztukę, jak swą rodzoną siostrę, nie bardzo się cieszy, jeśli ciągle tylko musi trzymać rękę w kieszeni i dokładać raz za razem, a w nagrodę za to słyszeć i czytać, że nie dorósł do wysokości swego zadania.

Jeśli cofniemy się pamięcią w owe czasy, gdy p. Pawlikowski obejmował przed mniej więcej pół rokiem krakowską scenę, przyznać musimy, że dawał nam same poważne sztuki i uwzględniał przeważnie repertuar swojski, rodzimy, przy pierwszem jednak powtórzeniu widzieliśmy nieraz aż po... trzydzieści osób w audytoryum!

A nie trzeba zapominać i o tem, że kierownik naszej sceny jest jej dzierżawcą, który chciałby doprowadzić bodaj do tego, by koniec schodził się z końcem. Dla miłości sztuki można się zrzec dochodów, trudno jednak żądać, by ktoś tylko wysilał się finansowo.

Powiadają niektórzy, że teatr jest subwencyonowany. Tak, to prawda! Trzeba jednak wiedzieć, że, jeśli gdzie, to tutaj zastosować można przysłowie: „niech nie wie lewica, co bierze prawica“. Lewica daje rzeczywiście subwencyę, prawica zaś zabiera ją zaraz w dwukrotnej przynajmniej wysokości pod postacią czynszu za budynek, opłat za światło, wodę i t. d., tak, że przedsiębiorcy nic z tego nie zostaje, owszem, dodawać musi z własnej kieszeni.

I jakże się tu dziwić i gniewać, że wobec tego, by nie musieć ogłosić bankructwa i dotrzymać bodaj do terminu końca dzierżawy, stara się o przedstawianie sztuk, które robią kasę.

Jeśli chcemy, aby teatr był idealnie odpowiadającym swemu kulturalnemu posłannictwu, postarajmy się, by kierownik sceny był w całej pełni jej kierownikiem, a nie dzierżawcą tylko, to jest, by nie potrzebował się oglądać za tem, skąd wziąć pieniędzy, by nie musieć zamknąć budy, boć przecież i artyści, jeśli im się gaży nie zapłaci, nie będą grać „dla pięknych oczu“ P. T. Publiczności.

Gmina, dbając o umysłowe rozrywki mieszkańców miasta, powinna na teatr łożyć i ponosić ofiary, a nie starać się o zrobienie na nim interesu. Dopóki zaś tak będzie, jak jest teraz, musimy pogodzić się z koniecznością, że teatr tu i ówdzie kuleje. Nie wystarczą same dobre chęci, ani napis na froncie gmachu: „Kraków — narodowej sztuce“.

Zresztą jeszcze ten się nie urodził, ktoby wszystkim dogodził!

W ubiegłą sobotę wystawił teatr krakowski Ibsenowskiego „Budowniczego Solnessa“, na bieżący tydzień zapowiedziano tegoż autora „Heddę Gabler“, a o to znów gniewa się sprawozdawca „Nowej Reformy“, twierdząc, że za dużo dwa grzyby w barszcz!

Dodaję też, że w Warszawie święcą tryumfy „Dzieje Józefa“ Perzyńskiego, we Lwowie wyśpiewuje krytyka hymny pochwalne na cześć „Paryasów“ Zapolskiej, w Poznaniu i Lwowie sukces śmiechu osiągnęła komedya Stasiaka „Miliarderzy“ i robi uwagę, że możeby nareszcie i krakowska dyrekcya zechciała sobie przypomnieć o obowiązku względem polskiego repertoaru i polskich autorów.

Na to się zgadzam, choć znowu muszę stanąć w obronie dyrekcyi, która polską twórczość sceniczną respektuje w miarę sił i możności, pamiętam jednak chwilę, gdy się na nią poważnie gniewano, że nie zapoznaje nas z arcydziełami obcych autorów dramatycznych...

Niema na świecie człowieka, który byłby bez skazy, nie powinno się przecież potępiać tak bezwzględnie kierownika krakowskiej sceny, zwłaszcza że, jak starałem się wykazać, wina leży nie tylko po jego stronie, ale raczej w większej części w naszych stosunkach teatralnych, które koniecznie wymagają naprawy...

Autor listu powinien się zgniewać na mnie, że nie chcę mu się dać przekonać i pójść z irytacyi na „Panią prezesowę“ lub „Hiszpańską muchę“, a przekona się, że, choć pojawiają się na scenie po raz nie wiem który, audytoryum będzie wypełnione po brzegi, i choć to Wielki Post, rozbawione i rozanielone!

Kilka słów poświęcić muszę teraz i modnemu tango, który, zaledwie się pojawił w Europie, już znalazł niebezpieczną konkurentkę w weneckiej „furlanie“.

Dzięki krakowskiemu Syndykatowi dziennikarzy, mieliśmy podczas niedzielnych czarnych kaw w Hotelu Pollera sposobność oglądania tych choreograficznych produkcyi i powiedzmy szczerze, nie znaleźliśmy w nich nic, ani zbytecznie obrażającego moralność, ani też tak znów uroczego, aby aż tracić głowę. Tymczasem społeczeństwo nasze podzieliło się na dwie wrogie sobie grupy, tangistów i furlanistów, które mają się zetrzeć podczas najbliższych wyborów do krakowskiej Rady miejskiej.

Która partya zwycięży, tego przesądzać nie można, dla ludzi tej tuszy, co ja, jest to, jak owoc zakazany, choć sam na własne uszy słyszałem, jak jeden z naszych grubasów zapowiedział, że póty nie spocznie, póki w tangu nie zdobędzie mistrzowstwa, jeśli już nie Wielkiego Krakowa, to bodaj którejś z gmin przyłączonych.

Jak ongiś football, tak teraz znów tango i furlana są na ustach wszystkich, nawet wielcy ludzie, którzy „robią politykę“ nie wahają się występować publicznie i pracować na popularność nogami, jeśli głowa nie wystarcza.

W tem miejscu powinienbym właściwie przejść już do wielkopostnej części kroniki, mimochodem przecież muszę się zastanowić nad tem, czy karnawał tegoroczny, aczkolwiek ożywiony, jak rzadko, miał jakieś dobre strony, czy też nie.

Pod dobremi rozumiem liczbę zawrzeć mających się po upływie wielkiego postu stadeł małżeńskich, karnawał jest bowiem niczem innem, jak tylko jarmarkiem na ... (w tem miejscu niejedna sufrażystka powie z przekąsem: Wiem! Chciał napisać... na gęsi!... Ale się wstrzymał! Jeszcze nie jest tak bezczelny!) Otóż nie „na“, ale jest jarmarkiem małżeńskim, tego nikt mi chyba nie zaprzeczy.

Z początku prowadziłem dokładną ewidencyę zabaw tak publicznych jak i prywatnych (z gorącą kolacyą, lub tylko z pączkami i herbatką, w każdym razie, o ile w domu były panny na wydaniu, przyjęcie było gorące!), później straciłem rachubę, stwierdzam przecież, że publiczne obliczać można na tuziny, prywatne na kopy!

Rezultatem tych wszystkich wysiłków finansowych biednych ojców rodziny jest, jak się przypadkowo dowiedziałem, aż dwoje zaręczyn i to nie bardzo pewnych. W jednym wypadku uzależniono je od zdania egzaminu przez oblubieńca, w drugim od śmierci cioci, która ma pozostawić panience pewną sumkę w gotowiźnie, a cieszy się znakomitem zdrowiem.

Pozatem skonstatowałem, że w czasie karnawału sprzedali nasi jubilerzy tylko trzy pierścionki zaręczynowe i to z tego dwa ze złota *doublé,* a tylko jeden prawdziwy, większy natomiast pokup był na obrączki ślubne, których poszło kilka tuzinów.

Jeden ze złotników, którego zapytałem o powód, poinformował mnie, że konkurencyę robią im zakłady zastawnicze.

— Bo to, uważa pan — mówił — taki facet, któremu się gwałtem zachciało żony, goły zwykle, jak święty turecki. Idzie więc do lombardu, kupuje tam pierścionek na licytacyi, bo to taniej, a narzeczonej powiada, że to pamiątka rodzinna po babce, która była wdową po pułkowniku z czasów napoleońskich... A ona tymczasem, poczciwa kobiecina, świeć Panie nad jej duszą, sprzedawała sobie jarzynki na Placu Szczepańskim. Ale u nas teraz demokracya wychodzi już z mody!

Z wykazu biura statystycznego okazuje się, że w karnawale zawarto małżeństw prawie tyle, co w latach poprzednich, o wyludnienie kraju nie należy się więc obawiać, lojalni obywatele postarają się uzupełnić braki wywołane zeszłoroczną emigracyą za Ocean.



Skoki na nartach.

(Do illustracyi na str. 8).

Do jednej z najbardziej emocyujących w dziedzinie sportu ewolucyi należy skok na nartach. — doskonałości. Już kilkoletnie dzieci spędzają cały cały swój wolny od nauki czas na małych, budowanych przy domach mieszkalnych odskoczniach, ćwicząc się pilnie, a marzeniem tych nieletnich sportowców jest dojście do takiej wprawy, aby w 18 dnio zorganizowane konkursy skoków w Zakopanem i Sławsku. W zawodach tych Polacy okazali wiele sprawności i odwagi.



Pogrzeb jenerał-gubernatora warszawskiego: Przed eksportacyą zwłok jen. Skałłona.
Konsul angielski. Konsul perski p. Wertheim. Konsul serbski p. Seydel.

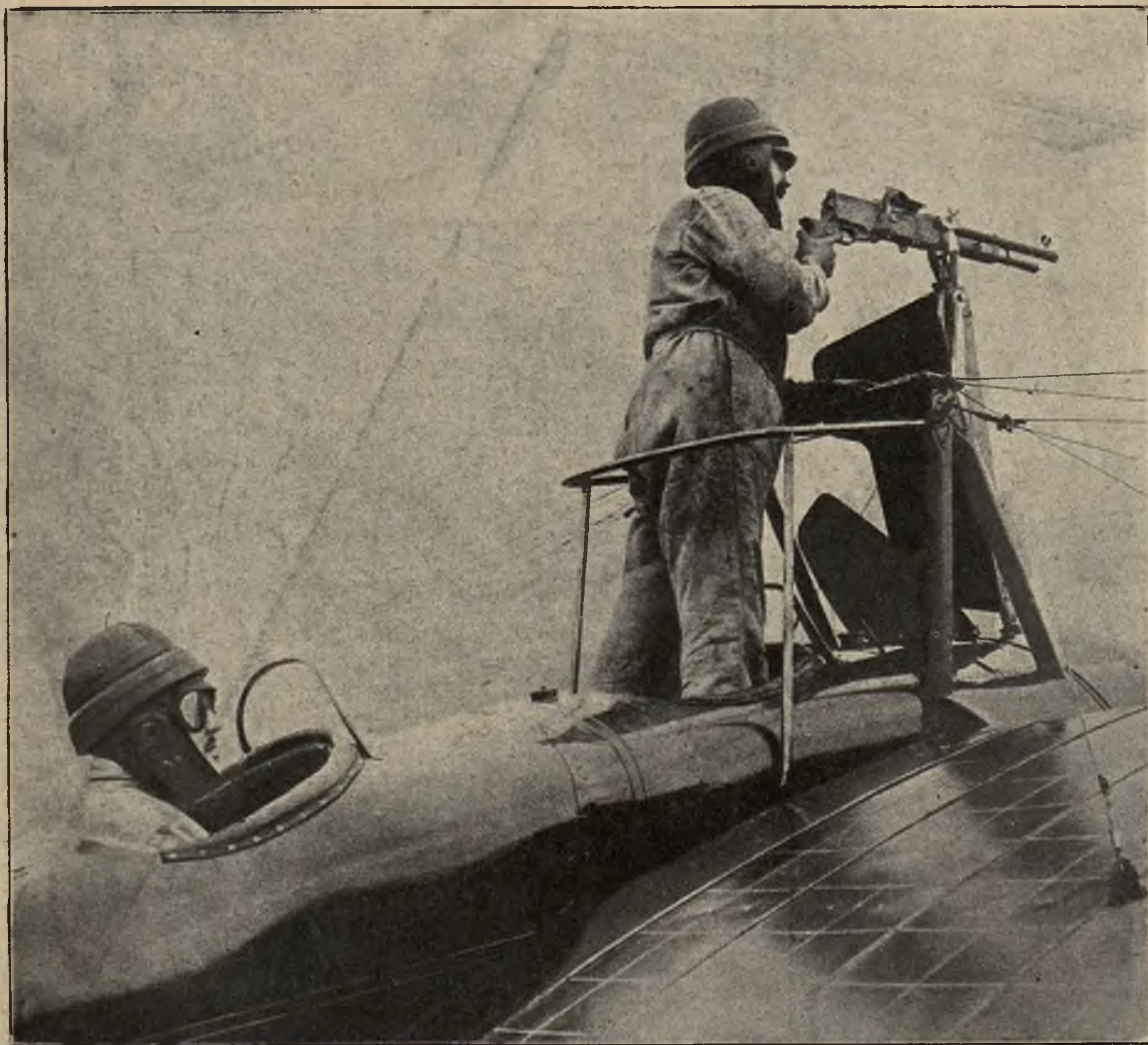
Początków jego szukać należy, podobnie jak zacząt ków sportowego narciarstwa, w Norwegii, gdzie sport ten, stojąc obecnie u wyżyny rozkwitu, stał się sportem narodowym. Pierwsze większe zawody w skoku urządzono w roku 1879 w Christianii. Od tej chwili obserwować można stały gwałtowny rozwój tej gałęzi sportu narciarskiego. Obecnie olbrzymie sumy pieniężne wydają towarzystwa na budowę wielkich imponujących odskoczni narciarskich, usytuowaniem i widokiem swym przejmujących nierzadko grozą. W Norwegii skok na nartach doszedł w ostatnich 35 latach do niezwykłej roku mogli popisywać się wobec króla na wielkiej odskoczni w Holmenkollen, gromadzącej zazwyczaj z górą 30.000 widzów. Prócz wydoskonalenia stylu, który stanowi główny punkt klasyfikacyjny, zawodnicy pobijają się bezustannie w rekordach długości skoku, zależnych głównie od profilu odskoczni. Do roku 1913 rekord długości skoku na nartach dzierżył Herald Smith (46 m.) Pobił go jednak w ubiegłym sezonie Norweg Knudsen swoim 49 m. skokiem na odskoczni w Dawos. U nas skoki na nartach nie zdołały się dotąd należycie rozwinąć. Dopiero w tym roku odbyły się pierwsze odpowie-

Wojna w powietrzu.

We Francyi dokonywane są obecnie próby z nowym, doniosłym dla sfer wojskowych wynalazkiem. Postanowiono mianowicie uzbroić aeroplany w karabiny maszynowe, za pomocą których możnaby atakować nieprzyjacielskie statki lotnicze. Pierwsze próby udały się doskonale. Karabin maszynowy umieszczony jest na przodzie aparatu lotniczego nad motorem, na specjalnie skonstruowanej podstawie, która pozwala strzelać nie tylko w prostej linii przed aparat, ale także i w dół na ziemię.



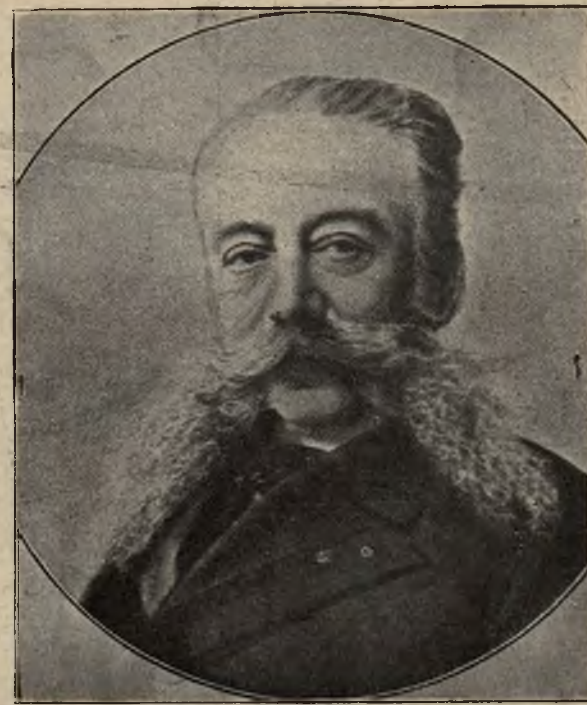
Z królestwa Albanii: Obóz wojskowy Albańczyków.



Wojna w powietrzu: Karabin na aeroplanie.

Strzelający żołnierz umieszczony jest nad lotnikiem kierującym aparatem aeroplanu w ten sposób, że lotnik siedzi w głębi tułowia aeroplanu, wystając zaledwie głową nad opancerzenie, zaś żołnierz znajduje się na aeroplanie, otoczony galeryjką.

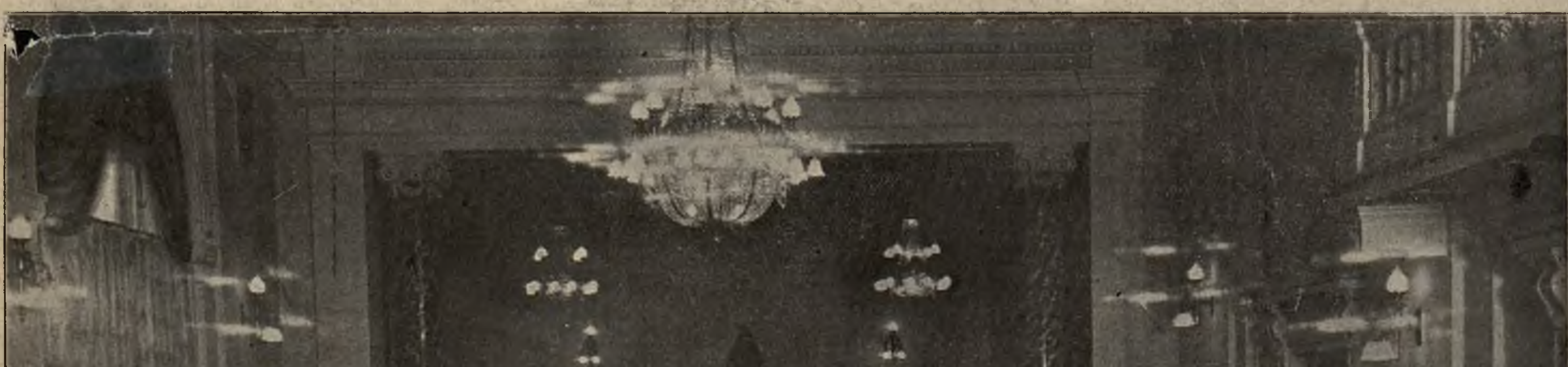
Próby okazały, że karabiny maszynowe działają doskonale, a celność strzałów jest dosyć wielka, tak iż uzbrojone w ten sposób aeroplany mogą służyć skutecznie do podjęcia walki.



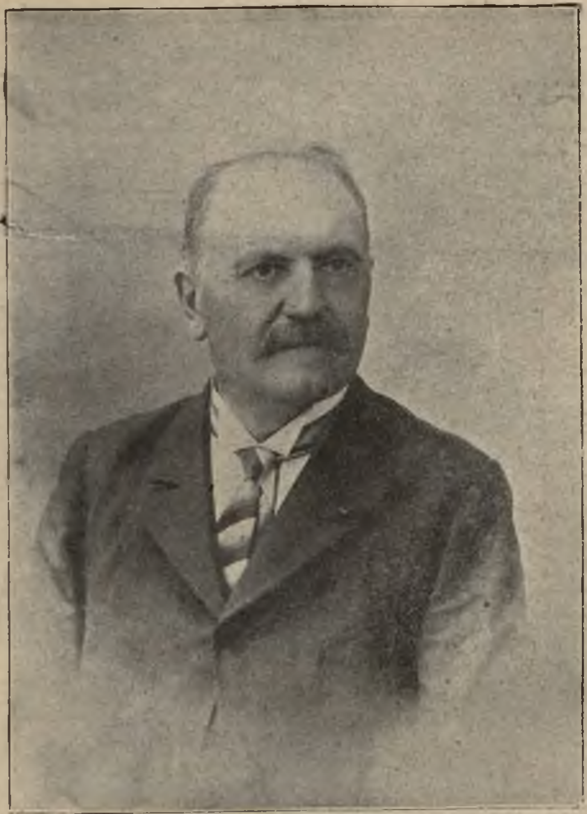
Nowy premier rosyjski Goremykin.

Echa karnawałowe.

Huczny i buńczuczny karnawał tegoroczny zakończył wreszcie swój skoczny żywot. Po dniach beztroskliwej zabawy przyszły postne refleksye, które symbolicznym popiołem przypominają nam znikomość nie tylko karnawału, ale wszystkich wogóle rzeczy ludzkich. „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz“. Im bliżej jednak byliśmy tej popielcowej prawdy — z tym większym humorem bawiliśmy się na stypie karnawałowej. Wymownym tego dowodem był cały szereg balów i maskarad, urządzonych w zapusty, zarówno w Krakowie i Lwowie, jak i w Warszawie i wszystkich wogóle miastach, nie tylko w Polsce, ale i na całej kuli ziemskiej. Tańczono we wszystkich salach publicznych i domach prywatnych, tak, że trudno nawet wyliczyć



Echa karnawałowe: Bal maskowy Tow. pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Przesilenie w ratuszu przemyskim: Józef Lanikiewicz, komisarz rządowy w Przemyślu.



Zmiany w sądownictwie lwowskiem: Pożegnanie ustępującego naczelnika sekcyi pierwszej, rad Chlamtacza. 1) Radca Chlamtacz. 2) Nowy naczelnik radca dr. Lasikiewicz. (Fot. M. Münz, Lwów).

te wszystkie zabawy. Jednym z piękniejszych był bal maskowy handlowców w Warszawie. Wspaniały gmach Towarzystwa pracowników handlowych i przemysłowych miasta Warszawy zamieniono na pałac „króla karnawału Jego Mości XXIX“, tyle bowiem karnawałów już przeżyła ta pożyteczna, ruchliwa i sympatyczna korporacya.

We wspaniałej sali balowej ustawiono tron monarchy jednej nocy, a salony II piętra ozdobiono przepysznymi fryzami wschodnimi i kilimam „Młodej sztuki“.

Przed tronem „króla XXIX“ przedefilował pochód masek istotnie imponujący. Idzie pokutnik, zbierający na żłobki, z kijem pielgrzymim, a obok wykwit XX wieku: telefon, któremu również na cel opłacają się ciekawi za rozmowę; dalej kiosk z ogłoszeniami obok egzotycznego indyjskiego radży; uroczą powiewną markizę prowadzą dwaj ułani 1 i 3 pułku; obok autentyczny Ludwik XV flirtuje z nocą, gwiazdzistą i tajemniczą, a świetny i błękitny paź królewski intryguje dziarskiego krakowiaka.

Kostyumy węgierskie, wschodnie, kwiaty, rybaczki, alegorye, a na ich tle bardzo efektowne toalety balowe...

Niemniej wesoło żegnano karnawał i na innych balach, a zwłaszcza tam, gdzie piękna południowa pogoda pozwoliła temu zdetronizowanemu dziś królowi wyemigrować z sal balowych na ulice. Kilka naszych illustracyi przedstawia właśnie karnawałową zabawę w Nicei... Pod gołem niebem, przy cudnej pogodzie letniej, sunie korowód cudacznych masek i figur wśród okrzyków rozbawionego tłumu.



Polityczne narzeczyny: Królewicz grecki Jerzy z księżniczką rumuńską Elżbietą na ślizgawce w Bukareszcie.



Przesilenie w ratuszu przemyskim: Dr. Włodzimierz Błażowski, zastępca burmistrza w Przemyślu.

Prawdziwie karnawałowy, choć nie mający nic wspólnego z naszym karnawałem, widok przedstawia illustracya z klasztoru Himis w Tybecie. Widzimy tam lamów przybranych w tak dziwaczne maski, że mogliby im pozazdrościć nasi europejscy maskaradowicze. Okazuje się, że rzeczywiście niema nic nowego pod słońcem, bo i nasze karnawałowe maskarady są stare, jak świat.





Echa karnawałowe: Zapusty w Nicei

Przesilenie w ratuszu Przemyskim.

Niedomagania i zaniedbanie w administracyi gminnej Przemyśla wywołały przesilenie, którego następstwem było rozwiązanie Rady miejskiej i ustanowienie komisarza rządowego. Walka w Radzie miejskiej przemyskiej ciągnęła się już od dłuższego czasu. Partya popierająca byłego burmistrza dr. Dolińskiego starała się za wszelką cenę utrzymać go przy władzy. Efekt tych starań był ten, że 22 radnych i 4 zastępców złożyło swe mandaty, przez co Rada gminna została w zupełności zdekompletowana i musiała nastąpić katastrofa.

Namiestnictwo, rozwiązawszy Radę gminną, zamianowało tymczasowym kierownikiem spraw gminnych emerytowanego wiceprezydenta namiestnictwa Józefa Lanikiewicza, dodając mu dwunastu mężów zaufania, z których pierwszy dr. Włodzimierz Błażowski został zastępcą komisarza rządowego, zaś dr. J. Scheinbach i Stanisław Goliński asesorami.

Z sali odczytowej.

Wielką salę prelekcyjną krakowskiego Uniwersytetu wypełniła po brzegi publiczność na odczycie Jana Pietrzyckiego: „Miłość w pieśni greckiej". Pod piórem wykwintnego wirtuoza słowa temat tak wdzięczny i tak odpowiadający upodobaniom poetyckim prelegenta, który słusznie ma prawo uważać się za subtelnego znawcę poezyi greckiej, zamienił się w prawdziwy hymn uwielbienia dla liryki helleńskiej, z której tyle przepysznych fragmentów (Safo, Anakreon) przyswoił literaturze polskiej Pietrzycki w swych znakomitych przekładach. To też i nie dziw, że piękny, przepojony głęboką poezyą i świetny pod względem formy odczyt poety, illustrowany jego własnymi przekładami, mówionemi prześlicznie na tle muzyki przez artystów teatru miejskiego: Konstacyę Bednarzewską i Wacława Nowakowskiego, odniósł niebywały wprost sukces. Jako dyskretny ilustrator muzyczny zasiadł przy fortepianie profesor konserwatoryum krakowskiego Michał Swierzyński, dając odczytowi pokład muzyczny, ujęty w szatę stylowej melodyi.



Z sali odczytowej: Poeta Jan Pietrzycki.

Wobec tego, że wiele osób wskutek rozsprzedania sali do ostatniego miejsca odejść musiało od kasy bez biletów, piękna prelekcya Pietrzyckiego powtórzoną będzie w Krakowie w pierwszych dniach marca w sali Starego Teatru, a w połowie marca wygłosi ją poeta w Warszawie.

Polityczne zaręczyny.

Wielkie niepokoje i nieporozumienia między królestwami bałkańskiemi znajdują obecnie bardzo pokójowe i przyjacielskie rozwiązanie. Nie tyle traktaty pokojowe i układy będą mogły doprowadzić do zgody i porozumienia, ile raczej węzły krwi, jakimi wzajemnie rodziny panujące między sobą się łączą. Przed kilku dniami odbyły się uroczyste zaręczyny na dworze rumuńskim. Ks. Elżbieta, córka rumuńskiego następcy tronu, oddała swą rękę królewiczowi greckiemu Jerzemu.

W ten sposób hymen, w tym wypadku w postaci prześlicznej dzieweczki, przyniesie różdżkę oliwną pokoju, która zbliży oba narody i wzmocni wzajemny ich związek.

Nowy Lwów.

Wstrzymany zastojem ekonomicznym ruch budowlany we Lwowie, zaczyna w tym roku wracać znowu na normalne tory. Właśnie brak pracy wpłynął wybitnie na przyspieszenie budowy szeregu publicznych gmachów, które z pewnością staną się prawdziwą ozdobą miasta.

Według wiadomości dzienników w najbliższym czasie Lwów podejmie budowę nowego gmachu uniwersytetu, szeregu klinik i szkół. Ukończony zaś



...: Zamas[illegible]ani lamowie przed klasztorem w Himis (Tybet).



Nowy Lwów: Nowy gmach filii Banku austro-węgierskiego we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów).

:ostał imponujący budynek filii banku austro-węgierskiego. Urządzony według nowoczesnych wymagań, pomieści na kilku piętrach szereg oddziałów filii. Sam budynek zewnętrznym swym wyglądem, doskonale zharmonizowanym i poważnym, stanie się ozdobą miasta.

Obok starego Lwowa, nowy Lwów rozrasta się bardzo szybko. W ostatnich dziesiątkach lat powstały całe nowe dzielnice, które rozległością swoją i pięknością struktury budynków europeizują miasto.

Przesilenie w Anglii.

(Do illustracyi na str. 4).

W życiu politycznem angielskiem ostatnie miesiące przyniosły szereg poważnych wstrząśnień głębokich. Ciągła walka z sufrażystkami wywołuje stale echa w parlamencie. Z drugiej strony groźbą poważnego przesilenia, zarówno gabinetowego, jak i parlamentarnego, zakończyła się na razie sprawa homerulu. Izba lordów stanęła w tej sprawie na odmiennem stanowisku, niż Izba gmin. Ostatecznie sesya parlamentarna zakończyła się więc groźbą przesilenia.

To też nowa sesya parlamentu angielskiego, która przed kilku dniami się rozpoczęła, ma w historyi Anglii doniosłe znaczenie. Król otworzył sesyę bardzo uroczyście według starodawnego ceremoniału. W mowie tronowej, którą w parlamencie wygłosił, zapowiedział, że bil o home-rulu zostanie ponownie przedłożony obu Izbom. Zarazem wezwał król wszystkie partye polityczne, aby zechciały zgodnie współdziałać przy usunięciu trudności, jakie z załatwieniem tego bilu są związane. Inaczej groziłoby państwu poważne przesilenie o doniosłych skutkach.



Echa karnawałowe: Zapusty w Nicei.

Zmiany w sądownictwie lwowskiem.

W tych dniach zaszły ważne zmiany na stanowiskach naczelnych w sądzie lwowskim. Ustąpił mianowicie naczelnik pierwszej sekcyi sympatycznie znany radca Chlamtacz, a stanowisko jego zajął radca dr. Lasikiewicz. Ustępujący naczelnik zostawia wśród kolegów, podwładnych i stron jaknajlepszą pamięć, jako uprzejmy i uczynny kolega i obywatel oraz doskonały prawnik, traktujący swój zaszczytny zawód sędziego godnie i po obywatelsku. Obsadzenie wakansu po radcy Chlamtaczu przez radcę dra Lasikiewicza spotkało się z uznaniem palesty lwowskiej, której nowy naczelnik dał się już przedtem poznać z jaknajlepszych stron. Ustępującego radcę żegnało grono kolegów biurowych z radcą Miskym i innymi na czele — życząc odchodzącemu długich i pomyślnych lat dobrze zasłużonego spoczynku.

Europa poecie hinduskiemu.

(Do illustracyi na str. 2 i 3).

Niespodziewane odznaczenie nagrodą Nobla poety indyjskiego Rabindranatha Tagory spotkało się z uznaniem Europy z chwilą, kiedy z tłomaczeń zaczęto się zapoznawać z treścią jego dzieł. Dzisiaj z całem uznaniem uczony i literacki świat europejski przyjął w swe szeregi indyjskiego kolegę.

Nie tylko jednak Europa pospieszyła z uczczeniem laureata. Także współziomkowie nie szczędzili mu oznak sympatyi. Specyalna deputacya, która przywiozła mu nagrodę Nobla, wręczyła mu także adres podpisany przez przeszło 1000 wybitnych osobistości z Kalkutty. Ceremonia uroczysta odbyła się w Bolpur, gdzie Tagore założył szkołę wychowawczą dla chłopców.

W uroczystości uczestniczył lord Willingdon, gubernator Bombayu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 51 (1913 rok).

Logogryf:

C	e	r	t	a	m	e	n	t
o	b	ż	a	r	s	t	w	o
g	r	e	n	a	d	y	e	r
ł	a	k	o	m	s	t	w	o
o	b	r	ę	b	i	a	c	z
w	i	t	t	i	n	g	a	n
a	l	u	m	i	n	i	u	m

Zadanie do przestawienia: Ślusarz zawinił, a kowala powiesili.

Łamigłówka literacka:

Aszantka.
Dla szczęścia.
Awantury arabskie.
Matka.
Na rozstaju.
Anachroniści.
Requiem aeternam.
U progu nowego życia.
Synowie ziemi.
Z tej smutnej ziemi.
Ego.
W Malstromie.
Icomparabile donna.
Cienie.
Złote runo.

Bilety wizytowe: Parasolnik. Korespondent. Pomocnik. Nowelista. Komisant.

Szarada: Szynka.

Równanie:

Wiosło + Ewaryst + gacki = **Słowacki.**
Komin + dolar + Seweryn = **Mindowe.**

Logogryf:

	K	a	m	i	l	
	Ś	w	i	t	a	
	S	o	k	ó	ł	
K	o	r	o	n	k	a
	A	t	l	a	s	
	W	i	a	t	r	
	R	a	j	e	r	
F	i	a	k	i	e	r
	F	i	o	r	d	
	K	o	p	e	r	
	K	r	e	p	a	
K	l	a	r	n	e	t
	B	e	n	o	n	
	Ś	n	i	e	g	
	S	a	k	w	a	

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: S. Kowalówka Kraków, Z. Szymanek Nowy Sącz, S. Galiński Nowy Sącz, M. Wańkowicz Mińsk, J. Rogalski Rzeszów, W. Rachwalski Bochnia, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, F. Horak Oświęcim, H. Maciejowska Winnica, L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Broda Tarnów, K. Gliński Kołomyja, J. Pick Warszawa, I. Brzostowski Krosno, S. Balicki Lwów, M. Lisowska Sambor, H. Obst Jasło, J. Lipowski Lwów, W. Nawrocki Warszawa, M. S. Kostecki Lwów, J. Wilczkiewicz Sambor, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, D. Sedyńska Zakopane, K. Kaim Warszawa, J. Jakubowska Kraków, W. Ostrowski Warszawa, M. Domagalska Kraków, W. Raczyńska Sanok, H. Figiel Sanok, J. Nowacki Śniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło K. Reichenberg Cieszyn, A. Bauer Lwów, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, R. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Waligórski Lwów, R. Sadowski Kraków, M. Kobyłecka Stanisławów, M. Kozicka Lwów, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, J. Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, A. Biliński Tarnopol, J. Krawecki Bochnia, M. Więckowska Łódź, Cz. Lipiński Zakopane, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Radziński Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, W. Sołtysik Lwów, S. Rogalski Tarnów, J. Łopatkiewicz Sambor, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. S. Bukowski, Równo. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Kinetofon Edisona Kraków, Hotel „Union" wejście z plant pod Wawelem wyświetla od dnia 27-go lutego do 5 marca br. senzacyjny film p. t. **Tajemnice Kijowa,** czyli **Proces Bejlisa.** Zdjęcie to powinno obudzić niebywałe zainteresowanie, ze względu aktualność poruszonej sprawy.

Codziennie popołudniu przedstawienia.

Na zakończenie karnawału przygotował teatr świetlny **„Uciecha"** odpowiedni bardzo wesoły program, złożony z komedyi i humoresek. W program wchodzą następujące lekkie utwory: „Wojownicza rodzina", komedya w dwóch częściach ze znanym humorystą p. Bunny (film amerykański); Przygody Augustyna na rowerze", bardzo zabawne sceny farsowe; „Sen Paulinki po balu", aktualność karnawałowa i humoreska; „Co Bubi dostał na imieniny", z ulubionym małym artystą. Dalej w program wchodzi najnowszy film z wielkiej seryi słynnych obrazów firmy Pathé-Fréres pod tytułem: „Walka o życie". W obrazie występują najlepsi artyści pierwszego teatru świata: komedyi Francuskiej, ulubienica publiczności, słynna piękność Gariella Robinne i Mr. Alexandre. Artystka znana jest ze swych ról w obrazach „Czarna hrabina" i „Król przestworzy". Niezwykle obfity, doborowy, pierwszorzędny program uzupełniają doskonałe widoki Jerozolimy (serya II), obrazki ze Szkocyi i najnowszy Przegląd Tygodniowy.

Z Krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt. Ustawicznie wpływające doniesienia do Krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt o masowem wyłapywaniu i tępieniu śpiewającego ptactwa w gminach podmiejskich, przez zwyrodniałe osobniki, zmuszają nas zwrócić się z gorącą prośbą do Szanownego obywatelstwa miasta Krakowa o łaskawe zastosowanie wszelkich środków dla ochrony skrzydlatych naszych i pożytecznych artystów śpiewaków.

W innych miastach europejskich zimą i latem rozbrzmiewają w powietrzu rozkoszne śpiewy ptasząt, zaś w naszem mieście, posiadającem tak blizko Wolę Justowską, Bielany, cmentarz z tak wielką ilością drzew, oraz ogrody, parki i drogocenne planty, wszędzie cicho i głucho tak zimą, jak i latem, gdyż zdziczałe jednostki z niepojętą zaciekłością tępią bezmyślnie nasze ptaszęta.

Może tych kilka słów pobudzi choćby tylko pewną ilość tutejszych szlachetnie myślących obywateli i obywatelek do wzięcia na własną rękę w obronę naszego ptactwa.

Wpisy do Krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt przyjmuje przez grzeczność księgarnia JWPana Krzyżanowskiego. Linia A-B.

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

13

Dubrenil i Vertol chcieli go o coś zapytać.

— On nie rozumie francuskiego języka — objaśnił Hirlak, który podszedł do towarzysza, pomimo zakazu księcia.

Na widok młodego Hindusa stary fakir uśmiechnął się. Wtedy Hirlak zaczął do niego mówić, a książę natychmiast tłumaczył obecnym każde jego słowo. Hirlak wyjaśniał towarzyszowi, że nie znajduje się już w Anglii i w jakim celu i w jaki sposób dostał się do Francyi, gdzie w obecności księcia Kiwani i uczonych lekarzy miał dokonać obudzenia go zapomocą zwykłych modlitw i użycia swojej siły. Siła ta jednak zawiodła go i Hirlak przeszedł rozpaczliwą chwilę niemocy i lęku, z której wybawił go obecny na zgromadzeniu przyjaciel ich władcy, doktor Gewolski. On to, zastosowawszy pewne środki współczesnej wiedzy medycznej, przywrócił fakirowi życie, niszcząc na zawsze wszelkie posądzenia szarlatanizmu i oszukaństwa, które przypisywano im dotąd.

Na bladej, martwej twarzy fakira, wzmagał się wyraz zdumienia i ciekawości. Zasnąć w Indyach i być przewiezionym w celu zresztą wielkim i szlachetnym, w lakowej trumnie na publiczną, wszechświatową wystawę, a obudzić w innej części świata, nie dzięki zwykłym, praktykowanym przez kapłanów indyjskich, obrządkom rytualnym, lecz przy pomocy wiedzy europejskiej — wydawało mu się czemś niejasnem. Stary fakir sądził, że śni jeszcze i nieśmiało wyraził to towarzyszowi.

Lecz gdy Hirlak poparł wyjaśnienie swoje dowodami, spojrzenie starca zabłysło gniewem. Jak można było mieszać cudzoziemców do ich tajemnych obrządków?

Książę Kiwani z wielką łagodnością starał się przekonać go i uspokoić. Słowa jego przyjął fakir z widoczną wdzięcznością, lecz wkrótce siły go opuściły i opadł osłabiony na posłanie.

Antoni wówczas słusznie zauważył, że człowiek wycieńczony tylotygodniowym głodem potrzebuje przedewszystkiem pożywienia. Przyniósł więc szybko tacę, napełnioną różnem mięsiwem i owocami. Lecz starzec odsunął to wszystko od siebie, wypił tylko szklankę wody i posilił się winogronami. Siły mu powróciły i spojrzał na księcia przytomnym, przenikliwym wzrokiem i dał znak ręką, aby się zbliżył.

— Czy czujesz się dziś dość silnym do mówienia? — zapytał troskliwie książę. — Zebrani tu uczeni pragną cię usłyszeć, teraz właśnie, kiedy jesteś jeszcze pod wrażeniem twego letargicznego snu. Możesz mówić szczerze. Religię naszą tutaj poważają i szanują.

Fakir odpowiedział poważnie, że mówić będzie, przedtem jednak rzucił pełne wyrzutu i surowości spojrzenie w stronę swojego młodego towarzysza i chciał o własnych siłach zejść ze stołu, na którym dotąd leżał. Książę chciał mu podać rękę do pomocy, odtrącił ją jednak z oznakami wielkiego szacunku, drżąc nerwowo, postąpił kilka kroków i usiadł w fotelu. Cichym, przerywanym głosem opowiadać zaczął. Mówił, że od pierwszej chwili uśpienia nawiedzony był cudownymi snami, w których widział kraj swój bogatym i opływającym w wszelkie dostatki i rozkosze. Następnie czuł, jak z zamierającego z każdą chwilą ciała dusza jego wyzwalała się, wolna od trosk i myśli doczesnych i szła w krainę absolutnego szczęścia i spokoju. Stan ten trwał aż do przebudzenia.

Po chwilowej przerwie fakir wyraził życzenie poznania sławnego lekarza, który uratował go z śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Wysłuchawszy w skupieniu objaśnień naukowych Gewolskiego, starzec ujął jego rękę i podniósł do ust. Lecz znowu siły zaczęły go opuszczać: drgnienie nerwowe przemknęło po twarzy, a oddech stał się cięźki i utrudniony.

— Nie możemy go dłużej męczyć rozmową — zawyrokował Gewolski — teraz powinien w samotności wypocząć.

— Sądzę, że zechcesz jeszcze, mój przyjacielu, pomówić później z panami — rzekł książę — i gdy czuć się będziesz silniejszy, zawezwiesz nas sam.

Fakir odpowiedział skinieniem głowy i bladym uśmiechem, twarz jego wyrażała wielkie cierpienie.

— Przebudzenie jest dla nas zazwyczaj bardzo przykre — wyszeptał z trudnością.

— A więc, mój przyjacielu, uczynisz mi wielki zaszczyt, przyjmując gościnność pałacu mojego w Neuilly, gdzie spotkasz zachowane wszystkie drogie wspomnienia naszego kraju rodzinnego, przebywać będziesz w otoczeniu znanem. Ty także — zwrócił się do młodego Hindusa — będziesz przyjęty u mnie. Co zaś do waszych nieszczęśliwych braci, dla których poświęcacie się tąk mężnie, liczyć oni mogą na moją szczodrość i pamięć. A teraz czy panowie mają jeszcze co do zaopiniowania? — zapytał książę zebranych lekarzy.

— Zawezwiemy którego dnia obecnych kolegów w celu odczytania sprawozdania z dzisiejszego ciekawego posiedzenia i podpisania go — odparł już zupełnie przekonany doktor Dubrenil.

Jan le Kerack bawi się...

— A sprawa Morel? Jakże idzie? — zapytał p. Reynier komisarz policyi.

Twarz ajenta, któremu komisarz zadał to pytanie, rozjaśniła się radośnie.

— Powrócił do siebie najspokojniej w świecie — odpowiedział — nie mam o nim nic więcej do nadmienienia, a pani Morel i córki nie życzą sobie, aby więcej wspominać o jego ucieczce.

— Ale do dyabła! — zaklął komisarz — może on gdzieś w tajemnicy trudnił się fałszowaniem obrazów! A pan naprawdę nic nie odkrył — poza tem co wiemy o nim?

— Śledziłem go najskrupulatniej i z wielką ostrożnością. Wspominał kilkakrotnie sąsiadom swoim, że zajmował się przez ten czas naprawą wielkich obrazów u jakiegoś amatora, który nie chciał, aby o tem wiedziano. Na samo posądzenie, żeby mógł fałszować obrazy, wpada poprostu w wściekły gniew!

— Skąd pan o tem wie?

— Bo teraz dzień cały prawie spędza poza domem; idzie malować pejzaże na brzegach Sekwany. Nic łatwiejszego dla mnie, jak śledzić go wtedy. Przedwczoraj rysował ostatni most nad rzeczką Oise, ja zaś zabawiłem się w rybaka i podpłynąłem łódką do niego. Widziałem papę Morela, jak w towarzystwie żony, młodszej córki i przystojnego młodego człowieka o jasnych włosach, opuszczał Sannoir...

— A tak, ten młody człowiek, to syn doktora Gewolskiego. Gdyby on wiedział, że syn zawraca sobie jeszcze głowę tą małą!

— Widziałem więc także, jak przybyli nad brzeg. Stary palił fajkę i zdaje mi się, nie bardzo brał się do swojej roboty. W jednej chwili najniespodziewaniej zaczął krzyczeć, że już ma dosyć tych wszystkich posądzeń, któremi go obrzucają, że wykonuje w tajemnicy fałszywe obrazy do Ameryki i że jeżeli kiedy złapie w ręce takiego oszczercę, to się z nim prędko załatwi. Żona, córka i ten młody Gewolski napróżno starali się go uspokoić! Wtedy do nich zwrócił się z wymówkami, że niepotrzebnie sprowadziły policye i poruszyły całą dzielnicę jego zniknięciem — wtedy, kiedy on życzył sobie spokojnie podróżować...

— Właśnie dlatego należy go mieć na oku. Handel podrobionymi obrazami przybiera w ostatnich czasach wielkie rozmiary. Dostajemy w tym względzie ciągle zapytania z Ameryki. Proceder ten szkodzi w najwyższym stopniu prawdziwym artystom i kupcom. Kupcy nie chcą kupować, bo obawiają się strat. Handel takim towarem można porównać z puszczeniem w obieg fałszywej monety. Zdaje mi się, że ten dobroduszny stary malarz, to filut, który chce nas w pole wyprowadzić... Trzeba śledzić go dalej. Nie podoba mi się ta mania robienia pejzażu, bo nigdy się tem dawniej nie zajmował! Nie ruszał się nigdy z pracowni. Teraz także nie wystawił już dawno żadnego obrazu w salonie. Nie chce, aby się nim zajmowano! ano! zobaczymy!

W chwili, gdy komisarz wymawiał te ostatnie słowa, rozległ się donośny hałas w przedpokoju i krzyki...

— Kiedy mówię, że nie wolno wchodzić!

— A ja ci mówię, że wejdę!

— Nie wolno niepokoić komisarza!

— Ale przecież ludzie do niego wchodzą!

— Ci, co mają ważną sprawę.

— Ej, dosyć mój chłopcze, bo mnie nudzisz! Słowom tym towarzyszył łoskot upadającego krzesła i nagle drzwi od komisarza otworzyły się z trzaskiem. Na progu stanął gruby człowiek, ubrany w kurtkę aksamitną i szerokie spodnie, spięte nad kolanami. Na głowie miał wielki, filcowy kapelusz o szerokich kryzach. I zanim mógł komisarz opamiętać się i wyrzucić intruza, pan Morel, czerwony z gniewu, przystąpił do stołu i krzyczeć zaczął, wygrażając się w stronę ajenta.

— Ach! jesteś pan tutaj! bardzo dobrze! Może teraz zostawisz mnie już w spokoju. Co to ma znaczyć, do stu tysięcy piorunów! Gdzie tylko pan się zwróci, wpadasz mi pod nogi! W pociągu, na drodze, przy drzwiach mojego ogrodu! Niedosyć tego! bawisz się w rybaka, aby podsłuchać lepiej moją rozmowę! A! bydlę przeklęte! odebrałeś mi już wszelką ochotę do pracy! A ten pejzaż tam, nad rzeką...

Na wspomnienie porzuconego pejzażu, wzruszenie ogarnęło twarz Morela.

— A tak, mój panie komisarzu! Żeby to pan był widział! Prawdziwy Corot! Podłożyłem płótno, naszkicowałem i zabierałem się do roboty, a tu pod mostem sunie łódka i ten idyota paskudną swoją gębę podnosi do mnie! Myślał, że nie poznam! Gdy odpłynął, posunąłem się drugim brzegiem, nie miał ani jednej rybki w łódce, i pytał się jakiejś starej baby o drogę do dworca i godziny odejścia pociągu — Spieszyłeś się pan z raportem, co? Ale ja tego mam dosyć — i jeżeli tak dalej będzie, stracę przez tego pana zarobek i kto wtedy utrzyma żonę moją i dzieci!?

Naprózno komisarz starał się przekonać rozżalo-

nego malarza, że nieprzyjemne towarzystwo ajenta nie było uplanowane, lecz dziełem przypadku.

Pan Morel huknął całą siłą pięścią w stół i krzyczał dalej:

— Niechże pan nie próbuje głupca ze mnie zrobić! Wiem dobrze, o co chodzi! Niepodoba wam się, że nie wpadłem w wasze ręce, jakeście mnie szukali po całej Francyi! Pocieszcie się, że to nie wasza wina. Ale skoro wróciłem dajcie mi teraz spokój! Wbiliście sobie do głowy, że jestem fabrykantem fałszywych obrazów, i że to za jeden z takich obrazów jakiś zwaryowany Amerykanin zapłacił dwakroćstotysięcy franków! Ja się taką robotą nie trudnię, rozumie pan! Jestem uczciwym człowiekiem! Odnawiam stare obrazy, ale je nie fałszuję! W ręce i w głowie mam geniusz wszystkich największych mistrzów, i z nim to pracuję, kiedy naprawiam ich arcydzieła! Ale fałszować obrazy! Do stu piorunów! wolałbym ręce sobie odciąć! Jestem uczciwym człowiekiem, słyszy pan! i żądam, żebyście zechcieli o mnie zapomnieć! Jeżeli tak dalej robić będziesz jak teraz, podsłuchiwać każde moje słowo i wypytywać sąsiadów z Sannois, to wkrótce okrzyczą mnie tam złodziejem, albo łajdakiem! I niechże pan wie, panie komisarzu, a może pan to powtórzyć dyrektorowi policyi i panu prokuratorowi, że jak nie przestaniecie mi włazić pod nogi, uwolnię się sam od was brauningiem, który mnie nie będzie opuszczał. — A teraz, dobranoc, panu.

Morel skłonił się dość grzecznie przed komisarzem, wyciągając równocześnie groźnym ruchem zaciśniętą pięść w stronę zdumionego ajenta, szerokim giestem nasunął na czoło kapelusz o wielkich kołach i wyszedł, trzaskając porządnie drzwiami.

Komisarz i inspektor po odejściu malarza, spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Komisarz w chwilę później uśmiechnął się i ręką dotknął czoła mówiąc:

— To waryat!

— To waryat! powtórzył jak echo inspektor.

— Chyba że... to bardzo zręczny ptaszek. W każdym razie, bądź pan ostrożny!

— A więc? — zapytał nieśmiało inspektor — mam dalej go śledzić?

— Bądź pan ostrożny — powtórzył komisarz — Zostaw go pan na jakiś czas w spokoju, skoro tak tego żąda, ale nie trać go z oczu.

Pan Morel uspokoił się dopiero, gdy doszedł do Nowego Mostu. Przedtem jeszcze, wychodząc z gmachu policyi, nawymyślał policyantom, tak, że ci mieli wielką ochotę go aresztować i długi czas przechodząc ulicą Orfeon wymachiwał groźnie rękami, nie przestając na chwilę przeklinać.

Skręciwszy z mostu w boczną ulicę — przystanął i wziąwszy się pod boki, wybuchnął głośnym śmiechem.

— No! chyba teraz będę miał spokój — rzekł z zadowoleniem. Gniew jego obudził się znowu na dworcu Saint Lazare, gdzie również udał się do komisarza i groźnie przemówił:

— Wracam z prefektury policyi! Powiedziałem mu, że jak nie przestanie mnie śledzić, uzbroję się w siedmiostrzałowy browning!

W Samois wściekłość jeszcze raz go opanowała. Naczelnik stacyi został także uwiadomiony o energicznych zamiarach pana Morela i zgadzał się z nim w zupełności! Pan Morel był przecież zacnym człowiekiem, nikt nie powinien się wtrącać w czynności jego pozadomowe!

W małym domku w Samois oczekiwano pana Morela z niepokojem. Wiedziano bowiem, z czem poszedł do prefektury. Wszystkim już ciężýć zaczynała troskliwa opieka władz policyjnych. Służąca, która w naiwności swojej odpowiedziała zanadto szczerze na zapytania ajenta, została natychmiast wydalona ze służby.

Nie było więc teraz nikogo obcego w domu. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Jedynie należało się bronić przed ciekawością najbliższych sąsiadów. Dla nich więc musiał pan Morel odegrać jeszcze raz, wchodząc do domu, scenę oburzenia i gniewu. Udała się znakomicie. Pan Morel wszedł następnie do jadalnego pokoju, gdzie rzucił się na fotel, śmiejąc się, jak szalony.

— Czy tylko nie przebrałeś miary, mój przyjacielu — zauważyła pani Morel.

Ale Fernanda, która tego dnia otrzymała z biura pozwolenie wyjścia, nie pozwoliła na czynienie żadnych uwag stryjowi. Przecież to dzięki jemu wszystko tak pomyślnie się składało i wkrótce w tym domu, tak smutnym dotąd, powitać miały z radością powróconego im ojca!

— A więc — pytała gorączkowo Fernanda — dziś go zobaczymy nareszcie wszyscy!

— Tak, moje dziecko — odpowiedział Jan le Kerlack. — Sądzę, że dziś dom nasz od ciekawych zwolniony dostatecznie będzie. Musi nas jednak przedtem jeszcze upewnić Stanisław, że na drodze z Epinay nie spotka nas nic nieprzyjemnego.

W tej samej chwili Stanisław Gewolski przybywał w automobilu, którym sam kierował, przez bramę Pautin do Saint-Denis. Zatrzymawszy się tu parę minut w celu zbadania drogi, prawym brzegiem Sekwany kierował się ku Enghien, zwracając baczną uwagę na każdego spotkanego przechodnia. Znał on dobrze obydwóch ajentów, śledzących Jana le Kerlacka. Nie spotkawszy ich nigdzie po drodze, Stanisław pomyślał z zadowoleniem, że jednak musiało im coś ważnego przeszkodzić i że może już nareszcie pozostawiają rodzinę pana Morela w spokoju. Około godziny trzeciej Stanisław połączył się z rodziną Morel nad brzegiem Sekwany. Matka i córki z twarzami rozjaśnionemi szczęściem otoczyły pana Morel, zajętego szkicowaniem pejzażu na dużem płótnie.

— Niema nikogo! — zawołał z daleka Stanisław, uśmiechając się. — Możemy być spokojni, bo wzrok mam dobry. — Serdecznym uściskiem ręki przywitał starego malarza, nie szczędząc mu złośliwej uwagi co do nieumiejętnego władania pędzlem. Pani Morel i Lusia nie mogły ukryć swojego niepokoju, ale Fernanda była swobodna i pełna najlepszej wiary i nadziei. Pan Morel zamaszyście rzucając na płótno jaskrawe plamy, mające wyobrażać pejzaż, odezwał się mrugając porozumiewawczo do Stanisława.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Przekładanka.

Ułożył W. M.

Litery, odpowiednio poprzestawiane, utworzą szereg wyrazów o pewnem znaczeniu. Początkowe i końcowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko i imię polskiego literata.

a	b	c	e	i	j	k	ł	n	z
c	d	e	i	i	ł	o	u	w	z
e	e	g	i	n	o	o	r	w	w
c	h	m	o	o	r	s	t	y	z
a	e	e	i	i	n	p	r	s	t
a	d	n	o	o	r	s	t	w	z
a	c	d	e	e	h	i	m	r	s

Równanie.

Ułożył W. M.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wziąć jednę syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego literata, w drugiem tytuł jego utworu

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}=x$$

$$\frac{m}{4}+\frac{n}{3}+\frac{p}{2}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Część okrętu. b) Rzeka we Włoszech c) Sprzęt domowy. m) Część jamy ustnej. n) Owoce południowe. p) Drzewa liściaste.

Łamigłówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanego ośmiowiersza wyjąć, idąc z góry na dół, po jednej literze i utworzyć z nich imię i nazwisko polskiego pamiętnikarza:

Widzi to Rajmund, ozdoba Karmelu,
Widzi w tryumfie syna Dominika,
Wyjeżdża na harc i wpada wśród wielu.
Godnego siebie szuka przeciwnika,
Rafał z nim obok: „Ratuj, przyjacielu!"
Rzekł. Seraficzna w tym punkcie kronika
Padła nań z góry, legł i ręką kiwnął
Dwa razy jęknął, cztery razy ziewnął.

Polityczna szarada.

Ułożył Dremil z Borszczowa.

Pierwszą wraz z drugą w kościele znajdziecie,
Zaś na kościele zwykle *drugie-trzecie,*
Wstecz podwójna pierwsza dzieci jest igraszką,
Często i kobieta bywa taką fraszką.
Lecz dopóki młoda, bo gdy *druga-druga,*
Wówczas wygląda raczej jak papuga
Całość kość niezgody, krwi kosztuje wiele,
Niemało z nią kłopotu mają przyjaciele.

Przysłowiówka.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
B ó ś ć! S z a t a n b r a ł k a n i e. R e n, w i e c.

Przeplatanka.

Ułożył W. M.

Podane litery uporządkować w ten sposób, by powstały trzy nazwy miast: 1) perskiego. 2) włoskiego. 3) galicyjskiego, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

	a		a		a	
a	c	c	d	d	e	e
	e		e		h	
h	m	m	n	n	n	n
	n		o		o	
r	r	r	r	t	t	w
	w		y		y	

Łamigłówka.

Ułożył Miecio z Liszek.

Uzupełnić podane wyrazy. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko zabawy, która była punktem kulminacyjnym ubiegłego karnawału.

— awa
— gon
— ora
— ral
— uła
— gat
— ara
— yga
— men
— owa
— ork

Logogryf.

Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek powstawiać odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego historyka, żyjącego na początku siedmnastego wieku.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Skorupiak. 3. Imię męskie. 4. Imię żeńskie. 5. Inaczej pięść 6. Dopływ Oki. 7. Samogłoska. 8. Przysłówek. 9. Część okrętu. 10 Inaczej kołyska. 11. Zdrobniałe imię męskie 12 Przyrząd sportowy. 13. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
P. S ę k u! B y ł t u k o ł o w o ł a o r z e ł i k o s.

Szarada.

Ułożył W. M.

Pierwsza, pół trzeciej, to imię kobiety,
Druga i trzecia z przywiązania słynie,
Całość ozdobna w przeróżne zalety,
Córa plemienia w rozległej równinie.

Łamigłówka.

Ułożył W. M.

Do jakiej rzeki azyatyckiej dodać jedną literę, aby otrzymać nazwę zwierzęcia domowego?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ignacego Dąbrowskiego:* **Zmierzchy.**

Biuro buchalteryjne — Szkoła buchalteryjna
STANISŁAWA BURNATOWICZA w KRAKOWIE
ul. Floryańska L. 55. Telefon Nr. 2113.

Zakłada i przerabia księgi handlowe w przedsiębiorstwach wszelkiego rodzaju. — Przygotowuje do egzam. z buchalteryi kupieckiej pojedynczej i podwójnej składanego w Akademii handlowej w Krakowie. — Kurs 100 Kor. wraz nauką pisania na maszynach, w ratach miesięcznych. — Przygotowuje do egzaminu z rachunkowości państwowej i buchalteryi kupieckiej pojedynczej i podwójnej składanego w c. k. Namiestnictwie we Lwowie. — Prowadzi szkołę i biuro pisania na maszynach. — Poleca **bezpłatnie** swoich uczniów na posady.

Nowe kursa rozpoczynają się dnia 6-go grudnia 1913 roku.

NOWOCZESNY
HOTEL „CITY"
Kraków. ul. Gertrudy L. 29

ZOSTAŁ OTWARTY
urządzony według najnowszego styla i hygieny
z pięknym widokiem na plantacye

102 elegancko urządzonych pokoi, centralne ogrzewanie, zimna i ciepła woda oraz telefon w każdym pokoju. — Łazienka na miejscu. — Winda osobowa i ciężarowa. — Kawiarnia i Restauracya. — Ceny przystępne.

Živnostenska Banka
v Praze.

FILIE: w Krakowie, Lwowie, Wiedniu, Bernie, Czeskich Budziejowicach, Frydku-Mistku, Hradcu-Królewskim, Iglawie, Karlsbadzie, Klatowach, Libercu, Melniku, Mor. Ostrawie, Ołomuńcu, Pardubicach, Pilźnie, Pisku, Prościejowie, Taborze, Tryeście i ekspozytura w Grado.

Rok założenia 1868.

Wpłacony kapitał akcyjny
Kor. 80,000.000·—

Fundusze rezerwowe i ubezpieczające
około Kor. 25,000.000·—

Filia w Krakowie, Rynek gł. 17

oprocentowuje wkłady oszczędnościowe na książeczki wkładkowe, po

$4\frac{1}{2}\%$

aż do dalszych postanowień. Podatek rentowy opłaca z własnych funduszów.

Kantor wymiany wydaje promesy na wszystkie ciągnienia — kupuje i sprzedaje papiery wartościowe oraz wszelkie obce waluty.

Bandaże przepuklinowe

dla osób cierpiących na wszelkie przepukliny pachwinowe i t. p. bez żadnych sprężyn, jako znakomite i bardzo praktyczne (również sprężynowe), oraz dla dzieci, uznane przez PP. lekarzy, poleca specyalny bandażysta:

Mirkiewicz, Kraków, Mostowa 4

Listy z zapytaniami z markami i objaśnienia praktyczne listownie. — Ostrzega się przed niefachowymi wyzyskiwaczami.

I-a Solingen brzytwy



kute z najlepszej angielskiej srebr. stali, **ręcznie ostrzone** na włos obciągnięte, gotowe do natychmiastowego użytku. Każda brzytwa bywa dostarczona w etui

Nr. 8701. Czarno poler. okł. 1|4 wklęsła 5|8 szer. z etui K 1·70
„ 8702. „ „ „ 1|2 „ 5|8 „ „ „ 2·20
„ 8703. „ „ „ 3|4 „ 5|8 „ „ „ 2·50
„ 8711. „ „ „ 1|1 „ 3|8 „ „ „ 3·60

Najlepsza brzytwa „Gracioza", dla Panów fryzyerów specyalnie polecana. Marka ochronna: Tylko z moją firmą do nabycia
Nr. 22. Z czarn. polit. trzonk., ostrze 4|8 szer. 1|4 wklęsłe K 2·—
Nr. 26. „ „ „ „ 5|8 „ 1|2 „ „ 2·90

Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Wysyła za zaliczką lub po otrzymaniu należyt. c. k. nadw. dost.

Hanns Konrad, dom wysyłk. **w Brüx Nr. 5384** (Czechy)

Katalogu główny z 4000 rycinami wysyłam każdemu na żądanie darmo i opłacony.

Poważny dochód

Może mieć każdy przez przyjęcie naszego zastępstwa. Nie zajmuje dużo czasu, ani nie wymaga specyalnego uzdolnienia. Nie żadne losy lub ubezpieczenia. — Zgłoszenia z dołączeniem marki na odpowiedź

W. Biernacki i Ska, Warszawa, Krak. Przedm. 6.

List do Warszawy kosztuje 25 hal. (10 kop., 20 fenigów).

BLANCA
absolutnie działający środek przeciw
czerwoności nosa
wywołanej przez zimna, gorąca, zmiany temperatury, złe trawienie i t. p. także w pierwszym stadium pijaństwa. Znakomity środek na powiększone pory i krwiste żyłki. Żadna maść, puder lub szminka, które służą tylko do pokrycia. Natychmiastowy skutek i zupełna nieszkodliwość. Za nadesłaniem K 4·— (za zaliczką 45 h więcej) przez **W. Hoffarth, Berno 3,** Morawy Krapfengasse 11.

Pracownia sukien damskich i kostyumów angielskich
Józefa Rzeszuta
plac Matejki L. 5
telefon 2566
wykonuje wszelkie roboty w zakres krawiectwa damskiego wchodzące. — Dla W. P. Przejezdnych miara w jednym dniu. Specyalność firmy kostyumy angielskie.

Telefonem 1044
lub na pisemne żądanie
zgłasza się osobiście
jako fachowy zastępca Administracyj poczytnych dzienników **krajowych i zagranicznych** w sprawie załatwienia **wszelkiego rodzaju ogłoszeń**
Bol. Jankowski, Kraków
ul. Szczepańska L. 5, I. p., ofic.



Tanie. **Dobre.**

Nieprzemakalne!
Nowość!
Nieprzesuwające się Polenza prawdziwe **Reformowe potniki.**
Do nabycia we wszystkich galanteryjnych handlach
Fabryka: Wiedeń II, Grosse Sperlgasse 6

SUKNA modne materyały dla panów i pań sprowadza się najlepiej i najtaniej z pierwszorzędnego domu wywozowego
Prokop Skorkovsky i Syn
SHUMPOLEC
Wielki wybór. Próbki na żądanie franko. CZECHY.
Nowe letnie próbki już się wysyła. 1

Harceńskie Kanarki



o pięknym głosie, nadzwycz. szlachetny własny chów od K 8·—, 10·— 12·—, 16·— i wyżej. Prima samiczki K 3. Gwarancya za wartość i żywą dostawę. 14 dni na próbę. Katalog darmo. **Fryderyk Sauer Graslitz** (Erzgebirge).

LALKI
Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie
poleca w wielkim wyborze
C. SZCZURKOWSKI
W KRAKOWIE
ul. Grodzka 2

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska, Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.